

KUŹNICA

Rok 2

Łódź, 17 grudnia 1948 r.

Nr 49 (67)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

MŁODZIEŻ HISZPAŃSKA W WALCE Z FASZYZMEM



Miguel Hernandez, poeta rewolucyjnej młodzieży hiszpańskiej. Zginął na polu walki w 1938 r. w 25 roku życia.



Lina Odena, 19-letnia Katalonka, bohaterka wojny hiszpańskiej 1936-1939. Otoczona przez faszystów, zastrzeliła się, nie chcąc wpaść w ręce wroga.



Henrique Lister — jeden z wodzów Republikańskiej Armii hiszpańskiej. W 22-gim roku życia był dowódcą armii.

STEEAN ŻÓLKIEWSKI

KOMENTARZ

I. GENEALOGIE

TEN NUMER „KUŹNICY” jest inaczej ułożony, niż zwykle numery naszego pisma. Wszystkie następne kolumny poświęcone są młodym, zbliżonym do „Kuźnicy”. Nazwiska niektórych z nich są znane czytelnikom pisma. Wszyscy reprezentują najmłodsze pokolenie piszących — pokolenie dwudziestolich. Zespół ten, skupiony na łamach „Kuźnicy” — to właściwie znakomita większość całej piszącej młodzieży w Polsce, tej przynajmniej, która obiektywnie, w druku dała poznać swą zdolność literacką.

Są to przedstawiciele różnych środowisk: warszawskiego, krakowskiego, łódzkiego, lubelskiego... żeby wymienić najważniejsze.

Pisarze ci — jak to zwykle ludzie jednego pokolenia, powiązani są wielorako ze sobą, nie stanowią dziś jeszcze żadnej określonej grupy literackiej. Są jednak na wspólnej drodze poszukiwań, na drodze, która wiedzie w tym samym kierunku. Aby uwydatnić ten kierunek poszukiwań młodej polskiej literatury, umożliwiamy im zbiorowe zabranie głosu w specjalnym numerze „Kuźnicy”. To gremialne związanie się polskiej młodzieży literackiej z najbardziej radykalnym i postępowym pismem literackim Obozu Wielkiej Reformy w Polsce ma jednoznaczną wymowę ideową, artystyczną i polityczną.

Dla młodzieży myślącej i sposobującej się do odegrania twórczej roli w kształtowaniu kultury duchowej kraju — ideologia „Kuźnicy” okazała się najbardziej w jej poczuciu bliska, atrakcyjna, wydała się najwłaściwszym punktem wyjścia do jej samodzielnej pracy, która winna przerosnąć nasze z konieczności historycznej ograniczone osiągnięcia ideowe. Takiego skupienia istotnie młodych, dwudziestolich, nie mamy dziś przy żadnej grupie prawicy, a także nawet w środowiskach katolickich,

nie wyłączając radykalnych katolików, którzy właśnie wśród młodzieży działają, gdy my mamy z nią związki luźne.

A trzeba stwierdzić, że ci młodzi — nie urodzili się lewicowcami. Znam ich nieco. Jakże wielu ma przeszłość z lat okupacji skrajnie prawicową. Kto był w Warszawie w czasie okupacji i nie wpał w ręku prawicowe, konspiracyjne wydawnictwa literackie z faszystowską „Sztuką i Narodem” na czele, łatwo by rozpoznał wielu znajomych z tamtych czasów. To smutne, tragiczne dla losów Polski, ale bynajmniej nie dziwne. Inteligencja mieszczańska w Polsce, z której się ta młodzież wywodzi, była od lat już subiektywnie niesłychanie samotna. Obiektywnie podporządkowani tak samo jak masy pracujące ośrodkom dyspozycji kapitalistycznej — ci młodzi czuli się obcy masom. Ustami swych ideologów uzasadniali wartość, konieczność, realność tej samotności. Pisał o tym szeroko Chałasiński, dyskutowało wielu na łamach „Kuźnicy”. Ostatnio Brandys w „Odrodzeniu” (Przyjaciele z „Kuźni Młodych”) świetnie pokazał tę samotność, tę nieobecność synów chłopskich i robotniczych w młodych ideowych ruchach inteligencji przed 1939 r. Nie lepiej było w dobie okupacji. Wystarczyło wyjechać na jakąkolwiek prowincję. Obserwowałem to parę razy w lubelskim. Tam, kto miał maturę, kto miał gimnazjum (a wiemy, jaki był skład społeczny szkoły sanacyjnej), kto był z dworu, z młyna, z organistówki, należał do miejscowej podchorążówki AK. Ale sąsiadująca o miedzę wieś była już z tym nie związana, miała swoje kadry Batalionów Chłopskich, którym pańskie wojsko z AK narzucało często, pożałujcie Boże, dowódców z nieuleczalnymi narowami sanacyjnych oficerów. — Ta młodzież inteligencja od pokoleń już, od zwycięstwa endecji po roku 1923, od zwycięstwa sanacji w 1926, nie słyszała ani w szkole ani w domu, ani w organizacjach inteligencji o trady-

cjach polskich ruchów społecznych, o ich związkach z ruchami emancypacyjnymi mas. Już mnie — dziś przeszło trzydziestoletniego — tak wychowywano. Była ta młodzież apolityczna, była aspołeczna. Nie miała nic wspólnego z postępowymi, jedynie twórczymi historycznie w Polsce ruchami robotniczymi i chłopskimi. Zawisł nad jej horyzontem politycznym ohydny cień korporanta, jedyny wzór młodej aktywności. — Rzecz jasna, że młodzież nawet tak chowana nie mogła pozostać głuchą na głos polskiej niedoli, która aż nadto wyraźnie przemawiała z kart pamiętników bezrobotnych, z bruku robotniczych manifestacji, z dróg zamiejskich obstawianych przez chłopskie strajki. Cóż miała robić ta młodzież niezwiązana ani tradycją, ani świadomością z ruchami ludowymi? Szła w złowrogie szeregi „radykalizmu” drobnomieszczańskiego środowiska, w szeregi polskiego faszystwu, w szeregi CNR-u, który ludził radykalnym frazesem. Tak ludzone było od dwudziestu lat każde pokolenie. Za moich czasów był „Legion Młodych”, „walczący” jednocześnie z kapitałem, komunizmem, kościołem. Nieco później przyszła podobnie fałszywa „Kuźnia Młodych”. Po ozonowym sojuszu sanacji z endecją — wszelkiego typu „obozy narodowo-radykalne”. I to wszystko miało swoje przedłużenia w okupacyjnej robotcie młodzieżowej. Inaczej być nie mogło. To była, zaiste, droga krzyżowa młodej polskiej inteligencji. Zwycięstwu ruchów robotniczo-chłopskich zwycięstwu nad faszystwem zawdzięcza dzisiaj swoją duchową wolność nasza inteligencja. Jej nowa młodzież nareszcie widzi sprawy społeczne, swoją pozycję i funkcję społeczną we właściwych perspektywach. Tej naturalnie, historycznie uwarunkowanej, dojrzałej dziś w pełni potrzebie sojuszu inteligencji z masami zawdzięcza obóz lewicy — akces młodych pisarzy pochodzenia inteligencjo-mieszczańskiego. Na szczęście



Ciągła wojna z przeżytkami wczorajszych pojęć, wczorajszych potrzeb, wczorajszych obyczajów, to najważniejsza pozycja walki o szczęście ludzkości.

Tadeusz Boy-Żeleński

TREŚĆ NUMERU:

- STEFAN ŻÓLKIEWSKI — KOMENTARZ
- HANNA KULAGOWSKA — OBŁICZE WSPÓŁCZESNEJ MŁODZIEŻY
- JERZY PIORKOWSKI — SAMOTNOŚĆ
- BOHDAN CZESZKO — W MARSZU
- TADEUSZ BOROWSKI — BITWA POD GRUNWALDEM
- MARIUSZ MARGAL — KŁĘSKA DE GAULLE'A
- TADEUSZ BOROWSKI — W OCZACH I USZACH COURTS-MAHLEROWEJ
- LECH BUDRECKI — KSIĄŻKA MOJEGO POKOLENIA
- WIKTOR WOROSZYLSKI — KSIĄŻKA O „NIEWINNOCI” HITLEROWSKICH OFICERÓW
- KANDYD — TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK
- NOTY —
- WIERZESZE
- MARIA CASTELLATTI —
- MIECZYSLAWA BUCZKOWNA —
- ROMAN KAMINSKI — * * *
- JACEK BOCHENSKI — * * *
- HELENA JAWORSKA —
- TADEUSZ SOKÓŁ —
- TADEUSZ KUBIAK —
- KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI — * * *
- ANNA POGONOWSKA —
- STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI —
- ANNA KAMIENSKA —
- ANDRZEJ BRAUN —
- JERZY E. MILLER —
- WIKTOR WOROSZYLSKI —
- JULES SUPERVIELLE (tłum. Ewa Fiszer) —
- EWA FISZER — * * *

dla nich i dla nas, niedługo i bardzo młodo blądzieli po manowcach rodzimego faszystwu.

II. DRUGA POŁOWA DROGI

Nieliczni, bardzo nieliczni z pośród autorów naszego „numeru młodych” są zorganizowani w ruchu robotniczym (do tego jeszcze wróć). Pomimo to można mówić raczej o życiowej ze strony ich wszystkich decyzji związania się z lewicą, aniżeli o decyzji artystycznej. — Coprawda — ta druga decyzja, to skomplikowana i w ogóle niejasna sprawa. Typ literatury, o który walczy „Kuźnica”, nie jest i nie może być narazie w pełni określony. Bo nie jest to sprawa programu krytycznego, który by można było ułożyć poza plecami pisarzy. — Jeśli program filozoficzny, społeczny i polityczny „Kuźnicy” jest dość szeroko rozpracowywany, o programie artystycznym ogólnie da się powiedzieć, że walczymy o taką literaturę, która by komplikacjami, załamaniem formalnymi nie zamazywała jednoznacznego politycznie i prawdziwego historycznie obrazu spraw ludzkich, spraw zbiorowych. Miałem możność w swym szkicu „O sytuacji literatury i pisarza” („Kuźnica” Nr 43) oraz w recenzji z książki K. Brandysa („Kuźnica” Nr 46) sformułować bardziej dowodnie, że artystycznie produkujące nasze piśmiennictwo zdąża w tym kierunku, chociaż fałszywe tradycje artystyczne lat międzywojennych, ciągle jeszcze żywe, wiktają linie poszukiwań.

Literatura nasza opóźnia się, literatura nasza ideowo jest jeszcze w pół drogi. Nie wyraża tych konfliktów, którymi dziś żyje całe społeczeństwo, jego nowe dominujące, klasowe siły społeczne. Jest ciągle jeszcze literaturą tylko jednej grupy inteligencji, na przekór prawdzie społecznej, jeszcze osamotnionej — nawet wtedy, gdy literatura tę samotność krytykuje; bo krytykując — widzi w niej fakt obiektywny, a nie subiektywne złudzenie.

Licze, że pisarstwo tych młodych, którzy szukają wytycznych postępu artystycznego w obozie lewicy, pójdzie — wyprzedzając nas — tą drugą połową drogi. Lecz to jest nadzieja przyszłości.

Na razie oblicze artystyczne większości tej młodzieży — jest dalsze lewicy, aniżeli ich oblicze społeczne, tak jak się ono manifestuje w ich utworach. — Niejednolita jest forma i treść tych prac. Treść bardziej jasna, jednoznaczna, postępową. Forma natomiast zdradza, iż w pełni nie zrozumieli swego czasu. Nie dostrzegali jeszcze praw rządzących dialektyką zdarzeń, w których społecznie żyją. Mówiąc z grubsza, panoszą się w tej młodej literaturze pogłosy ekspresjonizmu — tego typowego stylu drobniomieszczańskiego poczucia rozkładu i katastrofy, tak charakterystycznego dla przezwycięzonego okresu kryzysu i rozpadu kapitalistycznego społeczeństwa. Ekspresjonizm, to przyrodzony język bekoczących o katastrofie, o grozie przeżyć, które przejmują, ale nad którymi się nie panuje, których siły się nie pojmuje, które się fałszywie, mistycznie interpretuje, otaczając się światem demonów.

Wystarczy jednak wczytać się w utwory, ogłoszone w tym numerze, by zauważyć proces przelaniania tych ekspresjonistycznych nawyków, by zauważyć drogę do realizmu.

Mówi o niej często trafny politycznie i historycznie sąd o rzeczywistości, właściwie pokazanie winnych, sprawców, twórców obiektywnych zdarzeń, przyczyn i skutków społecznych (Borowski).

Myślę, że koncepcja autodydaktyczna tych młodych jest trafna. Tylko w ideologii lewicy polskiej, obozu reformy i reformy, obozu tradycji ruchu robotniczego — jego teorii, praktyki, jego

socjalistycznych ideałów — znajdują rygoru nowej sztuki, prawdziwego piękna.

A będzie to również droga do literatury politycznie czynnej na rzecz postępu.

Jasne — że do tego konieczna była życiowa decyzja tych młodych, decyzja związania się z politycznym środowiskiem Obozu Demokratycznego. Podjęli ją.

III. RUCH MASOWY I LITERATURA

Mówimy tu o literaturze przyszłości, która za 5 — 6 lat dopiero w pełni dojdzie do głosu. Czy wystarczającym warunkiem jej społecznego i artystycznego dojrzewania może być tak typowe inteligencji, luźny związek z ruchem ludowym, związek sympatii z radykalnym politycznie środowiskiem literackim i jego pismem? Myślę, że nie.

Wydać mi się potrzeba podkreślić, iż należy walczyć słowem, należy przekonywać, że ta nowa literatura powinna być już ściśle trwale, organicznie związana z masami.

Powiedziałem wyżej — tylko mniejszość spośród sprezentowanych pisarzy jest zorganizowana w ruchu chłopskim lub robotniczym. Powinno być takich więcej, jak najwięcej. Oczywiście, nie mogło się to stać w ciągu tych dwu lat. Wyjaśnia to dostatecznie rozdział omawiający przeszłość tych ludzi. Ich odejście od prawicy podobne jest nawróceniu Szawli; w potężnym błysku historii — w rewolucji polskiej — ujrzeli właściwy kontur rzeczy, prawdziwy układ wartości ludzkich. Jednakże ten szybki przełom był przełomem tragicznym. Młodzież zwodzona przez sanację była szczerze patriotyczna, szczerze chciała lepszej Polski, dała tego dowody w walce. Przekonawszy się, że używano jej entuzjazmu do celów antyludowych, dyktowanych przez egoizm klasowy reakcji, przystąpiła tragicznie załamaniu się swej ideologii. Tak należy rozumieć rozterki, zblaknięcia, opory, częstą negację — wielu z mieszczańskiej młodzieży, z młodzieży uniwersyteckiej.

Tylko wyjątkowa ezujność, niepokój umysłu właściwy ludziom twórczym zdecydował, że młodzież literacka wcześniej dojrzała do zajęcia po tej tragedii pozytywnych stanowisk. Stąd jeszcze jest dość długa droga do zrozumienia

swoich obowiązków wobec zorganizowanego ruchu robotniczego i chłopskiego. Oby ta droga najszybciej została przebyta. Wymaga tego odnowa kultury polskiej, jej upowszechnienie i nudowienie, jej istotna demokratyzacja.

Kultura demokracji ludowej — to kultura budowana poprzez zorganizowane, społeczne ruchy chłopów i robotników.

Inteligencja nasza do tyłu niedojrzała do przyjęcia tego stanowiska, iż musi się zastrzec, że nie oznacza ono żadnej propozycji przymusu należenia do partii. Jest prościej tezą — o której użycie niżej podpisał publicysta walczący słowem najzupełniej na własną rękę, że typ kultury, który niżej podpisany z różnymi dobrze i racjonalnie uzasadnionych względów jest bliski — jest kulturą zorganizowanego ruchu robotniczego i chłopskiego, z jego świecą moralnością, z jego teorią, z jego politycznością, z wszystkimi pięknymi tradycjami od czartystów i pierwszego związku komunistów począwszy.

Organizacja robotnicza — nawet nazwana partią — jest czymś zasadniczo innym z racji swych funkcji kulturalnych, aniżeli typową mieszczańską partią polityczną, zrodzoną przez demokrację parlamentarną drugiej połowy 19 wieku. Typowe mieszczańskie struktury partii politycznych zrodziły się w Anglii. Tam nieznanne są programy partyjne. Partie są organizacjami zawodowych — zawsze burżuazyjnych — polityków — w 19 w. reprezentowały, nawet po pierwszych reformach prawa wyborczego, tylko różne frakcje burżuazyjne. Politycy bez hańby przechodzili wielokrotnie z jednej partii do drugiej. Partia przychodząca do władzy realizowała często projekty swych ustępujących przeciwników. Funkcja partii mieszczańskich w życiu kulturalnym społeczeństwa — nie przekraczała spraw związanych z techniką polityki parlamentarnej.

Ruch robotniczy powołał inny typ organizacji. Partyjność staje się tu zasadą życia. Sprzyja powstaniu świeckiego kodeksu moralnego. Staje się powołaniem do walki o inny porządek, o inną kulturę. Przynosi zespół rygorów i obowiązków, które w okresie walki o no-

wy ustrój o emancypację klas uciesmionych, stają się koniecznym wyposażeniem każdego, który chce być czynnym przy tym tworzeniu nowego stylu życia.

Każdy, kto z dostateczną surowością dla siebie czytał historię Polski, wie jak bardzo jesteśmy zapóźnieni w rozwoju społecznym i cywilizacyjnym. Z jak bardzo romantycznym entuzjazmem i jednocześnie rozumną trzeźwością trzeba ekonomicznie, celowo i szybko te braki nadrobić. Czeka na to nieulektryfikowane wieś, miasteczka bez spódzieln, rzadka, jak rozdarty niewód biedaka, sieć szkół wyżej zorganizowanych, czeka ciągle głodny kultury człowiek w Polsce. Nie weszła ona jak należy do świetlic fabrycznych, uniwersytetów ludowych i robotniczych. Daleko jesteśmy od zrównania poziomu potrzeb kulturalnych różnych grup społecznych. Nie ma warunków ani materialnych, ani psychicznych dla przyswojenia tradycji kulturalnej europejskiej, tradycji Rembrandta, Szekspira, Bacha — przez tego głodnego kultury człowieka. Nie stworzyliśmy tych warunków. I nie chodzi tu przecież tylko o fachową robotę oświatową. To całość życia kulturalnego musi być przeniknięta nowym duchem. Nie nie zdziła kierownik świetlicy — bez książek pomocniczych, nie powstana te książki bez nowej humanistyki uniwersyteckiej, bez nowej filozofii. Nie idzie tu o pracę skoncentrowaną na poziomie popularnym. Pracować trzeba, jak normalnie wymaga dialektyka kultury — na różnych poziomach.

Aby praca nad budowaniem nowej kultury polskiej była istotnie planowa i szybka, także młodzież literacka w Polsce powinna związać się organizacyjnie z ruchem ludowym.

Znajdzie w nim bowiem proste, skuteczne, jednoznaczne, wytyczne swego udziału w tej pracy, znajdzie w nim zasady moralne i normy wartościowej działalności twórczej. Zorganizowany ruch młodzieży chłopskiej i robotniczej jest dziś *jedynym* w ramach Obozu Demokratycznego. Szeregi czekają!

To jest droga do odrodzenia młodej, twórczej inteligencji w Polsce.

Stefan Żółkiewski

HANNA KULAGOWSKA

OBLICZE WSPÓŁCZESNEJ MŁODZIEŻY

(Przemówienie na akademickim zjeździe polonistów w Krakowie)

DYSKUSJA o młodzieży nie cichnie. Sprawa młodzieży nie jest ani błaża, ani prosta.

Pewne wypadki w kraju podnoszą ją do rangi pierwszorzędnego problemu. Uporczywość tego zagadnienia, stały powrót do niego w prasie i w dyskusjach, upoważnia do twierdzenia, że jest to zagadnienie domagające się diagnozy, zwołania konsylium narodowego i skutecznej terapii.

Już artykuł Stefana Żółkiewskiego w numerze 7 „Kuźnicy” (1945 r.): „Nie docenione i przemilczane” poruszył kwestię studenta na tle istniejących stosunków uniwersyteckich i zarzucił mu polityczny analfabetyzm i brak intelektualnej sprawności. Autor zaleca zmianę składu społecznego młodzieży akademickiej przez dopuszczenie młodzieży chłopskiej i robotniczej do studiów wyższych. Żąda, by uniwersytet stał się ośrodkiem twórczej pracy badawczej, areną płodnych zmagani między ideologiami naukowymi.

„O młodszych bracie pamflet” (Kuźnica Nr 9) zajmuje się już bezpośrednio sprawą młodzieży. Usiłuje określić młodzież, zdefiniować jej braki zawinione i niezawinione. Znamy wszyscy ten artykuł przepełniony troską o młodzież, ale o wyświadczeniu pesymistycznym. Artykuł zaczepny, prowokujący. Posypały się odpowiedzi, protesty, miały miejsce dyskusje publiczne. Młodzież usiłowała się usprawiedliwiać, wybielać, samooskarżać, podkreślając jednak ciężar przeżytych lat wojny, ogrom spustoszeń intelektualnych i duchowych. Cytowała osiągnięcia i zasługi. („Kuźnica” Nr 12, 15, 17 i 20). Argumenty żółte i przekonywujące, ale w zasadzie nie zmieniające obrazu nakreślonego przez Żółkiewskiego. „Tygodnik Po

wszechny” w artykule pt. „Cyfry, które krzyczą” przedstawił opłakane stosunki materialne i zdrowotne młodzieży akademickiej. To prawda. Ale odbudowa dóbr materialnych to nie wszystko. Wszystkie wysiłki rządu idą po tej linii, aby braki istniejące usunąć. Jest to sprawa oczywista, dzieło w trakcie realizacji.

Bieda i choroba nie starczą jeszcze na rozgrzeszenie pewnych postaw młodzieżowych. 25 Nr „Kuźnicy” przyniósł aż trzy artykuły na temat młodzieży: Koźniewskiego „Na starsze pokolenie pamflet”, J. Żuławskiego „O ideologii w wychowaniu młodszych” i Stefana Żółkiewskiego „Głos w dyskusji o młodzieży”. Koźniewski ubolewa nad wołaniem przedwcześnie młodzieży w czynne życie polityczne jeszcze przed osiągnięciem przez nią dojrzałości fizycznej i światopoglądowej. Młodzież taka marnieje i przedwcześnie „przekwita” politycznie. Wypomina różnym formacjom politycznym wydzieranie sobie młodzieży, posługiwanie się nią bez skrępowania jako elementem podatnym, zasobnym w siły i entuzjazm. Pragnie zastrzec młodzieży prawo harmonijnego rozwoju, prawo do własnych przemyślań i rozstrzygnięć, bez jakiegokolwiek presji czy agitacji: Żuławski i Żółkiewski żądają od młodzieży opowiedzenia się za lub przeciw postępowi. Po ostatniej wojnie linie podziałów są tak wyraźne i dobitne, tak ogólnie w całym powojennym świecie obowiązujące, że dąkanie doraźnego rozstrzygnięcia nie jest zbyt wygórowane. Stefan Żółkiewski domaga się od młodzieży określonych gustów kulturowych, wyraźnych tendencji życiowych hierarchizujących treści życia społecznego, bo jedynie to gwarantuje pełny i twórczy udział w nowej rzeczywi-

stości, w walnej bitwie o przyszłość kraju. „Nieporozumieniem jest wychowanie tej młodzieży w duchu apolityczności. W istocie bowiem hasła apolityczności — to oddawanie młodzieży na żer reakcji. Upolitycznić — to znaczy nauczyć rozumieć i pojmować procesy społeczne, nauczyć je oceniać” — mówi Żółkiewski. „Musimy nauczyć młodzież naszą wybierać model przyszłej kultury” — powtarza dalej.

„Pokolenie” od początku swego istnienia zajmuje się kwestią ustalania stosunku młodzieży poakowskiej do nowej rzeczywistości i bilansu przeszłości konspiracyjnej. Wysuwają jednak poważne zarzuty przeciw czynnikom rządzącym, ujmując się za krzywdą współkolegów, którzy spotkali się z nieufnością i wymiarem kary wtedy, gdy mogli spodziewać się pomocy i oceny zasług.

W numerze 3 „Pokolenia” pisze Wieluń: „Młodzież ucząca się cechuje pewna lekkość w stosunku do zagadnień państwowych, wyrażająca się w biernym czekanu na inne lepsze warunki obiektywne pracy społecznej, które „muszą” nadejść, ale nad nadejściem których nie pracuje się bezpośrednio czynnie”.

Bratny pisze w swym „Przyczółku” znamienne „Obok mas ludowych elementem rekrutkim tej reformy może stać się i najbardziej ofiarna, patriotycznie najlepsza część młodzieży inteligentnej, spauperyzowana intelektualnie (brak cenzusu) przez stratę czasu, który normalnie rozwijające się społeczeństwo przeznacza jej na naukę, a który ona utraciła na wysiłki zbrojnej konspiracji. Ta młodzież, peryferyami politycznymi naszego akowskiego środowiska wyrzucona na emigrację wewnętrzną, dziś gotowa już do powrotu.

Ta młodzież poakowska to są przyszli repatrianci wewnętrzni, to są ludzie, którzy już tylko „czekają na transport”. Musimy się tylko spotkać z lojalnym zrozumieniem państwa”.

Przytoczone tezy i fragmenty licznych artykułów wskazują jak nabrzmiałe jest zagadnienie młodzieży. W dyskusji szkolnej na łamach „Kuźnicy” mieliśmy pośrednio jeszcze wiele z tym tematem do czynienia. Starsze i młodsze pokolenie wspólnie analizują tę sprawę szczególnie, że wady i zalety, winy i osiągnięcia tych dwóch pokoleń zagebią się o siebie i można je rozpatrywać tylko w kontekście złożonych zjawisk społecznych. My mamy do czynienia z konkretnym środowiskiem akademickim. Skupia ono młodzież różnego wieku o różnej przeszłości okupacyjnej (co nie jest bez znaczenia) i z różnych ugrupowań społecznych. Jeśli nawet można wyodrębnić różne typy młodzieży, to i tak ogólny aspekt młodzieży jest zdecydowanie niekorzystny. Dominuje jakaś niemrawość, niezdeterminowanie. Młodzież ta w większości swej nie dostrzega katagorycznych i nieodwołalnych zmian w strukturze nowej rzeczywistości. Nie czuje się zobowiązana do równie podstawowej odbudowy i rewizji swego stylu życia. Nie dąży do skonstruowania się świadomości, chce skrzętnie zdobywać wiedzę, pielęgnować osobiste walory izolowane i aspołeczne. Poprzestaje na strzępach ideologii, na brnięciu w życie z dnia na dzień, na iluzji prawidłowego życia społecznego. Profil tej młodzieży jest rozmywany, udział jej w życiu naukowym tylko uczniowski i poprawny. Młodzież uniwersytecka za punkt honoru uważa jak najidealniejsze odbarwienie się, zneutralizowanie naukowo, co niby idzie w parze z dostoj-

jeństwem bezstronnej, czystej wiedzy. Co za absurd! Dziwne, że ta inna pełna niepokoju, szukająca młodzież nie oddziałuje na ten marazm. Młodzież lewicowa też jest niestety tylko przysłowiową „szczyptą soli”. Istnieją jeszcze zastępy faszyzmu w organizmach, pełnej goryczy, która wchodzi wszędzie skandal i korupcję. Młodzieży tkwiącej jeszcze ciągle pod urokiem londyńskiej koncepcji, chorej na kompleks przejściowości, rozgoryczonej trwaniem znieprawionego systemu. Młodzież ta pieści w sobie wizję przyszłej zmiany (bliżej zresztą nieokreślonej). Ta młodzież wyszła nietknięta z wielkich doświadczeń, nie wyciągnęła żadnych nauk z czasów pogardy, zachowuje cały przedwojenny antyintelektualny aparat myślowy i emocjonalny włącznie z antysemityzmem i uprzedzeniami klasowymi. Wiemy ile w tym zagadnieniu postawy młodzieży tkwi bólek, krzywd, — jak często młodzież jest rozdarta wewnętrznie, obolała i zawiedziona. Jakże straszne rumowisko wewnętrzne musi uprzętać, jak waha się i jaka jest czysta w intencjach. Nas obchodzi dziś jednak wymowa faktów, stanowisk. Epoka, w której żyjemy żąda maksymalnych wysiłków. Nie czas na subtelną kazuistykę, na wyświechtanie niejasnych intencji, nas interesuje fakt i jednostkę zapisujemy na dobro fakt. By dojść do tego stanowiska trzeba przezwyciężyć niejedną czułość, niejedną litość, niejedną skłonność psychologizowania, posługiwać się szerszą i twardszą litością społeczną. Jedynie fakt przeciwny godności człowieka rządził koszmarną okupacją — teraz każdy czyn broni interesów człowieka najszerzej i najhumanistyczniej pojętych. Młodzież uważa za wartościowe i szlachetne twierdzenie, że nie interesuje się polityką, choć już takie stanowisko jest wyznaniem społecznie szkodliwej wiary i niezamierzoną deklaracją polityczną. Zarzeka się ona, że jedynym godnym jej tytułem jest tytuł dobrych Polaków, że jest i pozostanie bezpartyjna. Ma obrzydzenie do zalegalizowanych postaw. Jest to jakieś somnambuliczne przechadzanie się po rzeczywistości lub zgola przenoszenie się w jakąś inną niematerialną rzeczywistość nie mającą nic wspólnego z panującym stanem rzeczy ani dialektyką zdarzeń. Swej tragicznej pomyłki i anachronizmu swej postawy nie dostrzega jednak młodzież; nie zwraca uwagi na potężną wymowę socjalnych przemian. Nie jest to wynik premedytacji ani złej woli tylko polska beztroska niecierpliwość społecznie temperamentu. Młodzież w zasadzie aprobuję reformy obozu „postępowego” w Polsce. Przyznaje się do tradycji Kościuski, Kollataja, Mickiewicza; przyjmuje bez zastrzeżeń ich wymowny demokratyczny program. Nie pozwala niby kwestionować swej demokratyczności — jakże beczasowej! — Ale sama utrzymuje tę demokratyczność jak goluśkę abstrakcję lub jak humanitarną czułość bez pokrycia. Istnieją nawyki i upory, które trzymają młodzież w oddaleniu od namacalnej pracy dla odbudowy kraju. Młodzież ta nie daje się wciągnąć do żadnych konkretnych i zdecydowanych statutowo organizacji ponieważ wyznaje głęboką i bliżej nieokreśloną nieufność do realizacji ich programów. Zrzeczając się dla roboty społecznej i samokształcenia w organizacjach politycznie neutralnych niepotrzebnie kawałkuje tę pracę, która powinna być scalona w imię prostoty i czystości naszych wykresów odbudowy i przebudowy kraju. Artykuł Fr. Gila „Kłosa proletariusza i pancerni chłop” przedstawia wnikliwie tragizm i zbyteczność wszelkich odosobnionych wysiłków, wtedy, gdy schemat działalności społecznej jest zmontowany na skalę ogólnopolską.

„Cóż razem z gackimi koszykarzami mógł jeszcze zbudować chrześcijanin Solarz”. Jeszcze jeden szpital wiejski może dom dziecka, wszechnicę, pałac chłopca, może ogromną spółdzielnię! Kraj przystępuje do budowy gigantycznych elektrowozów. Betonowymi łamami zagrodzimy rzekom ich prawieczną drogę i zmusimy je do pracy dla nas... A setki wiernych uczniów Solarza błądzą wciąż w zaczerpniętym kole zabranej do grobu obietnicy Chrześcijaństwa o budowie czegoś, co miało przewyższyć uniwersytet gacki i markowską spółdzielnię zdrowia... Ale w ciągu tych dwu lat Gacenie zrozumieć, że w tym samym czasie, w jakim mogliby stworzyć jedną placówkę — Związek Samopomocy Chłop-

skiej szybciej i lepiej zbuduje tysiące spółdzielni, tysiące szkół i ośrodków zdrowia. Że bez wielkiego planu u góry, bez budowy zapór na wielkich rzekach kraju, bez pomocy śląskich Zjednoczeń, do wsi ich nigdy nie dotrze światło elektryczne. Nikt tu już na serio nie traktował możliwości jakiegoś odrębnego budownictwa... Na rezerwę młodzieży silnie wpłynęły środowiska domowe, nawet najuczciwsze obywatelsko ale wyrosłe jedynie w tradycjach i mitach. Winne jest tu nieoczytanie młodzieży, która nie dąży do przeczytania dzieł zasadniczych, opierając się tylko na strzępach poglądów o najbardziej twórczych doktrynach. Już teraz młodzież akademicka pracuje na różnych stanowiskach w różnych instytucjach społecznych, w urzędach i przedsiębiorstwach. Problem jej udziału w życiu państwowym to już nie tylko problem przyszłościowy — to problem chwili obecnej. To problem wpływu tej młodzieży, choćby z tytułu swej inteligencji obarczonej określoną społeczną misją, na otoczenie bardziej zaniedbane umysłowo a zobowiązane do pracy zespołowej dla dobra kraju i postępu. Konieczna jest trzeźwość osądu zjawisk politycznych, chłodny rachunek korzyści i możliwości. Sądzę jednak, że jest tu i miejsce na entuzjazm, na upoważniony romantyzm. Wartości, które wnoszą nowy program społeczny mogą napawać głębokim optymizmem. Młodzież musi powziąć decyzję umiejscowienia się w świecie, bo inaczej ten świat wyprze ją jak obcą materię. Tymczasem młodzież waha się jeszcze ciągle z postawieniem swego krzesła na gruncie rzeczywistości i biega bezradnie z swym krzesłem pod pachą, czekając nie wiadomo na co. Młodzież stawia często wolność obywatelską w Polsce pod znakiem zapytania. Zależy tylko od tego, kto w jakim duchu i w jakiej intencji stawia pytania, boje nad brakami w naszej polskiej rzeczywistości, pętnuje te braki. Odpowiednią odpowiedź: życiową lub karzącą. To jest konieczność wyjątkowych warunków w jakich żyjemy, tej przedwstępnej fały demokracji i wyjątkowego naporu kultuństwa. „Póki nie ma tradycji i nie są jeszcze wpojone najprostsze nawyki pracy i życia zbiorowego — wychowawca nie powinien wyrzekać się przymusu i ma do niego prawo”. (Markarenko — „Poemat pedagogiczny”).

„W okresie rewolucji — póki nie dojrze świadomość ogromnej większości jednostek z pośród klas zdolnych do życia w nowym ustroju — arytmetyczna zasada klasycznej demokracji może tylko prowadzić do opóźnienia i obciążenia krwią i cierpienia tego, co i tak przyjąć musi bo powrotu w nicą nie ma.

Im prędzej, im liczniej, im bardziej świadomi staną w szeregu ruchu ludowego — tym krótsza będzie rewolucja, tym bliższa demokracja” (Adam Rapacki — „Po rozmowie z przyjacielem z PSL, „Kuźnica” Nr 34). Te cytaty ku rozwadze tym, którzy mówią o ucisku w Polsce. Pole do ekspansji jest duże i czeka na młodzież. Właśnie inteligencja młodzieżowa nie przez rezerwę, ale przez pełny udział może przekształcić te zjawiska społeczne, przed których brutalnością i niewłaściwością się wzdraga. Może obsadzić miejsca źle obsadzone, może wykryć nadwyżki społeczne i humanistyczne.

Przeżona własnymi brakami, szczelinami i wyrwami w wiadomościach swych, opóźnieniem w studiach postanawia młodzież jak najszybciej przebrnąć przez uniwersytet. Młodzież ta pracuje w większości wypadków zawodowo, uczy się, udziela społecznie. Nie uważa ona jednak, że ład i celowość, a także społeczna użyteczność tej pracy warunkuje: a) rewizja swych przekonań, b) przyjęcie elementarnych wytycznych światopoglądowych, c) zbudowanie jakiejś jasnej konstrukcji intelektualnej.

Tymczasem dotychczasowe podejście młodzieży do studiów pomija tego rodzaju decyzje. Młodzież w swym pośpiechu nie ma czasu na krytyczne przyjrzenie się uniwersytetowi, na krytykę metod pracy, na jakakolwiek opozycję wobec utartych, tradycyjnych sposobów stosowanych w badaniach naukowych. Dla takiej młodzieży funkcje społeczne uniwersytetu nie istnieją. Bez rewizji pojęć o uniwersytecie, przy czolobitności dla konwensu naukowego, młodzież zachwyszcza tylko własne drogi poznawcze. Nie dokonała ona wyboru własnego kompletu instrumentów laboratoryjnych, nie wydoskonaliła

aparatu pracy naukowej. Bez selekcji metod, bez wypracowania sobie samodzielnej i konsekwentnej techniki pracy naukowej praca uniwersytecka młodzieży będzie miała charakter kompilacyjny i eklektyczny. Młodzieżowy brak światopoglądu politycznego i społecznego w przedłużeniu daje brak światopoglądu estetycznego, kulturalnego. Brak jakiegokolwiek ideologii estetycznej sprzyja stagnacji kulturalnej. Znikają niemal punkty sporne w dyskusjach, wszelkie płodne zaognienia na seminariach. Nic nie budzi sprzeciwu, wszystko rejestruje się w pamięci, nie ma miejsca na spór i oburzenie.

Młodzież wypełnia pracę w kołach jak pewien obowiązek prestiżowy i sumiennosci jej wysiłków jest zatrzważająca — tak dalece sumiennosc nie jest synonimem dynamizmu nowych sformułowań, nowych rzetelnych wniosków. Podkreślana wielokrotnie pilność i przykładność („grzeźność”) młodzieży w toku jej pracy uniwersyteckiej nie jest zjawiskiem stuprocentowo pomyślnym, o ile nie jest ono poparte świadomością metod obratnych. My korzystamy dotąd dorywczo i z pietyzmem z takich czy innych instrumentów pomocniczych, wybranych przypadkowo w tradycyjnej gablotce. Każdy referat seminaryjny stanie się śmieszną, o ile nie zastosujemy doń jednolitego zespołu kryteriów, nie połączymy ścięciem jednolitej, nieskazitelnej linii krytycznej. Trzeba chcieć coś więcej niż źle i rozmaicie komentowane wiadomości. Młodzież musi poznać zdrową radość z wykonania nowych związków, z pogardy dla pseudonaukowego balastu, z bezlitosnego tępienia rzeczy społecznie i naukowo zbędnych i niepoważnych. Młodzież musi „walczyć” z własnymi wykładawcami, przestać brać ich słowa głoszone z katedry za wyrocznię. Trzeba konfrontować ideologie naukowe, trzeba te ideologie znać. Wiele satysfakcji i optymizmu leży w takich starciach z nestorami nauki. Uniwersytetowi polskiemu wyjdzie to na zdrowie! Młodzież musi pomóc w budowie nowego typu wyższej uczelni i nowej polskiej inteligencji, wzbogaconej o nowe klasy społeczne. Trzeba skończyć z tradycją mdłych belfrów, których dotąd wypuszczał uniwersytet, belfrów faszersowanych szczerze wiadomościami, ludzi pozornie potulnych i obiektywnych, choć tego rodzaju obiektywizacja groziła i grozi skróceniem karku — sobie i wychowankom. Zjawisko to w swym dalszym biegu odbiera w szkole średniej uczniowi te „emocje nauczania”, które niezbędne są dla ucznia i których ma prawo się domagać. Kubacki w Nr 41 „Odrodzenia” wzrusza się neoheroizmem naszej młodzieży. Tej co zaciska zęby i uczy się w najcięższych warunkach, nie oczekując nawet lukratywnych zarobków w przyszłości. Tej, która przeszła powstanie warszawskie, wykazując najpiękniejszą wytrwałość i niezłomność. Jest to osąd ciepły, ale płytki. Bo w tej mroźniejszej pracy, w tym zapale naukowym może się znów kryć zasadzka, błąd zasadniczy. Chodzi znów o celowość, o skuteczność, o prawidłowość tych wysiłków. Już na pierwszym etapie młodzież powinna czuć więcej niepokoju, więcej niedosytu wyrażać, więcej troski o bezbłądność samej koncepcji studiowania. Nie stać nas na niepotrzebną stratę czasu naszej młodzieży, na jej niedospania, przepracowania, heroiczne wysiłki, które w konsekwencji mogą wyprodukować ulomny typ człowieka źle wykształconego, nieuzbrojonego w żadną własną, subtelną technikę kulturową, jak mówi Żółkiewski. Sprawa ta dotyczy zwłaszcza dyscyplin humanistycznych, gdzie ciągle brak jeszcze ścisłych rygorów badawczych. Młodzież nasza jest dzielna i mocna, szczególnie wolna od patosu i dotkliwie doświadczona życiowo — ma więc wszelkie dane po temu, by podbudować swą pilność potrzebną budulcem. Niepokoju twórczy łęgnie się już po uniwersytetach, macki intelektualne napięte już są w ciemności. Mamy na to dowody na naszym własnym terenie. Wiemy, że nie jesteśmy w Polsce odosobnieni.

Nie można pisać ani mówić o młodzieży nie uwzględniając jeszcze jednego jej aspektu. Nie należy tej sprawy omijać jako drażliwej, gdyż tylko szczerze postawienie pewnych kwestyj może uzdrowić stosunki młodzieżowe. Chodzi o sprawę katolicyzmu naszej młodzieży. Młodzież ta na tyle nie przejęła się katolicyzmem, by kierować się nim jak wyznacznikiem swych poczynań życiowych. Bojowa i radykalna katolicka postawa w życiu mogła

by przynieść tylko doniosłe korzyści. Tymczasem nasz polski katolik zdradza i zdradza niebezpieczne tendencje: polityki zbrojnego zakładania rąk i czekania na nadprzyrodzoną interwencję („a całość sama się złoży”). Nasz polski katolicki ideał bytu sprowadza się często do wizji sielskiego życia bez wpływów „zabójczej” industrializacji i zbyt radykalnych reform. Kościół wpływa w tym sensie na młodzież, usposabiając ją raczej do łagodnej filantropii niż trzeźwych form działania. Uczy ją nieufności do panujących warunków i przyciemnia jasność i sprawdzalność jej myślenia spekulatywnego. Młodzież związana jest silnie z kultem katolickim i nikt jej tego nie bierze za złe. Mogłoby to raczej wróżyć wysoki poziom etyczny tej młodzieży, czystość i humanitarność jej intencji. Chodzi znów tylko o to, by młodzież ta zechciała wypręparować sobie uczciwie swój stosunek do religii, uwolnić się od wstecznych i mętnych wpływów i sugestii, stworzyć z katolicyzmu postępową religię społeczną. Ziemskich zadań jest sporo spełnienia.

Nasuwa się pytanie jak zaradzić brakom, jakie podjąć środki, które zdynamizowałyby naszą młodzież. Mówiliśmy już: trzeba tę młodzież zachwycić szansą historyczną nowej rzeczywistości. Wiemy, że walczymy z przesądami, który osaczył nie tylko młodzież — jest to przesąd nabyty, przejęty z domów mieszczańskich, spróchniały wzorec życia. Trzeba przeciąć tę pępowinę, łączącą nas z macierzystym wstecznictwem. Sądzę, że należało by przede wszystkim upowszechnić na wyższych uczelniach poruszone tu zagadnienia. Zorganizować na większą skalę dyskusję, prelekcje, postawić samo zagadnienie, które nie dochodzi jeszcze do zbiorowej świadomości albo jest wulgaryzowane. Wciągnąć w te dyskusje profesorów, działaczy społecznych, pisarzy. Zorganizować planowo czytelnictwo — przygotować zestawienia książek z zakresu metodologii, socjologii, nauk filozoficznych, których znajomość jest niezbędna. Wyprzedzić tu nawet inicjatywę profesorów. Podjąć pracę wydawniczą z tego zakresu. Roztoczyć trzeba opiekę nad młodym maturzystą wstępującym na uniwersytet poinformować go dokładnie o tym, jak pomyślana jest praca uniwersytecka, wskazać mu dzieła, których przeczytanie jest ważniejsze niż wędrowka po szeregu zbędnych wykładów, na co często traci czas pierwszoroczny student.

Musimy wypracować sobie psychiczną przychylną dla spraw, które będziemy obserwować. Gotowość rzetelnego wniesienia w sprawy, sądzone dotąd zdaleka i niepopularne. Musimy zdekonspirować nasze urazy i przesady, sformułować żądania. Uważam tak samo za konieczne wdrożenie się w lekturę nowych pozycji naszej literatury, tygodników literacko-społecznych, znajomość naszego teatru, plastyki. Pogodzi nas to z rzeczywistością, pozwoli wymacać jej rodzący się kształt, wnikać w jądro zdarzeń kulturalnych naszej epoki. Jest objawem czystym u młodzieży naszego pokolenia, że percypują zupełnie nową poezję, nie doceniają nowej prozy. Dość to znamienne zjawisko potwierdzające tylko nasze obawy. Należy temu zaradzić przez organizowanie wieczorów autorskich literatów współczesnych przez poznanie także najmłodszych osiągnięć literatury obcych. Tylko w ten sposób specjalnie jako przysli wykładowcy, możemy zmniejszyć dystans dzielący przeciętnego odbiorcę od dzieła współczesnego, noszącego w sobie emocje i doświadczenia kulturalne naszej epoki.

Napewno w ten sposób znaleźlibyśmy wspólny język i moglibyśmy przysunąć się bliżej do współczesności, poczęli rozumieć jej treści intelektualne i artystyczne.

Młodzież powinna zainteresować się reformą szkolnictwa średniego i wyższego.

Powinna tępić i pigmować wszelkie znane sobie wypadki spekulowania studiami, kupowania matur, niesamodzielnego zaliczania egzaminów.

Młodzież musi wejść w żywe i konkretne zadania ruchu oświatowego, zaangażować się w nich czynnie.

Musi ona wpływać na kształtowanie się myśli kraju przez udział w dyskusjach o zasięgu ogólnopolskim, przez częstsze wyrażanie swego zdania, przez zerwanie z indyferentyzmem społecznym.

JACEK BOCHEŃSKI

JERZY PIÓRKOWSKI

SAMOTNOŚĆ



W pierwszy dzień wojny, tak dawno,
jakby życie i śmierć przez ten czas zsumował
i zwyciężył oboje ręką piszącą,
dziwili się niebu, że nie zamario,
że ptak po nim obojętnie kołował,
że nie od stali, lecz od słońca było mi gorąco.

W ostatni dzień wojny, tak blisko,
że jeszcze nie dostrzegłeś, czym napiera,
choć się, bo niebo nie młoda,
bo dusza w gęstwinie młodym liściom,
a na majowym polu ona i on
calują się w żywe usta i budują cegła dom.

ANDRZEJ BRAUN

Zwierzenia

Niewydojane objawienia
wrosły tu, jak delikatne drzewo.
Czy raz ostatni mokra ziemia
drutem słonecznym w szyszkach śpiewa?

Wypilem z płuc niedobrą krew,
rozdarły tak, jak białe drzewo
na oczach gwiazd. I został śmiech
i już nie zwiędzie mnie napewno.

Kto wyszedł z nocy widzi jasno.
I trudno naraz zmieniać tory.
Bliżej się brzozy kory
żałosną demobilizacja.

Kiedyś śpiewałem bydlęciu kul —
a było: oczy kurzem pieszcząc,
włosy własnemu się rozczulił
i ciał skandował mocne wiersze.

To, co zostało: szczupła dłoń,
skóra przeżarta wazami, słońcem
na rzemień, czuje tylko to,
co twarde, ostre i prawdziwe.

Bo z reumatyzmem włożył w kości
w noclegach leżących inne dreszcze;
w dwa rękach ciebie nie pomieszcze
poesję rzeczy namacalnych!

I wiem. Do świata znów tu twarz,
nim przyschną dni i szram na ciele
swoją leśną mundur na bandaż
oddam. Niewiele.

MIECZYSLAWA BUCZKÓWNA

(poległym na Powiślu)

Cienie

Wracając do miasta
zobaczę ślad naszych rozstań,
— kłosa, cieniem wyrasta,
na murach osada jak rozpacz.
Cieniem słowem suną młoczeniem
nad ciętą wodą skrzypek jak krew,
brzęk słowy głuch,
nie ocaleni brzeg. Gdzie przeszła śmierć.
Ziemia tam ogniem przeżarta i hukiem,
tętny w nią seszły
krow
i wy.

Noc — wiatr
w rozzerwany murze skręca blachy strzep
i młodo miłki pili ulica pustą.
Kiedyś kłosa zieloną zielenią się zniża
z granów rosną cienie niskie —
tylko nad wami w kształcie kłosa.

MARIA CASTELLATTI

Patrząc przez okno

Słoneczny dzień jesienny
nie jest gorszy od innych
aby się cieszyć i kochać —
jakże są ładne dziewczęta
w rdnawych jesiennych sukienkach
w alejach i ogrodach.

Przez okno na to patrząca
szalona matka warszawska
która straciła trzech synów
na barykadzie przed domem
myśli: nie będzie miała żadna
takiego męża jak Dziśław
takiego męża jak Adam
takiego męża jak Wacław

Fragment poematu

Jeżeli wierzył i nie wątpił
żołnierz, powstaniec i partyzant
idąc do ziemi lub za druty
że głębiej daje żyć nadziei —
jeżeli wierzył w kres pogardy,
niech wytrwa w śmierci i niewiedzy
pr. cegła głąb czy rumiankiem
czysty czystością swolch pragnień.

Z miliona przygód patriotycznych
pewny za siebie i za innych
że spełnił dobrze obowiązek —
wyniósł nieknięte słowo wolność
młodość braterstwo i odwagę,
włożył je w ręce co zostały,
młokoś naiwny i wspaniały,
który uwierzył i nie zwątpił.

Okolwiek wypieczył w lochów nocy
na pełne światło i powietrze,
wskazujący został dla miłości,
dla namiętnych i łagodnych,
oczni — przyjaźni, rak — przyjaźni —
jest żywy aby mógł tożnąć życie
w narzędzia pola i fabryki,
dzieci owoce i zwierzęta.

TA CHWILA zjawiała się razem z rozszerzeniem żreń. Karol wahał się tylko przez moment. W oczach zakolysał się przyćmiony, popstrzony smugami much żyrandol, lejący leniwe, zmienne smugi światła w dół. Z jego blasku wychylały się zza drzwi błyszczące refleksy na hełmach żandarmów. A potem z tą chmurą chłodu wtargnęła i czeluść lufy Bergmana. Karol uśmiechnął się. Po jego jasnych blond włosach chodził jeszcze cień światła. Z satysfakcją stwierdził nienaturalną błądłość twarzy pierwszego i jego rozbiegane, niespokojne oczy. — Zupelnie jak u szczeniaka, pomyślał. Musi zginąć, wiedział o tym dokładnie. Położył rękę na kapeluszu leżącym na stole. Palce wpełzły pod rondo. Poczuł chłód broni. Ten żandarm, nieświadomy Karolowego wyroku, jeszcze się wydziwiał. Ryknął coś niezrozumiałym belkotem do pierwszych stólków. Kelnerki sfrunęły przestraszone do drzwi. Karol kopnął Michała pod stołem, spojrzął na niego. Tamtemu drżały usta.

— Co do cholery; zaniepokoił się. Ale nie było już czasu. Wszeli wszyscy. Karol obrócił się zwolna do sąsiedniego stolika, jakby miał zamiar poprosić o gazetę. Siedziała tam wyfiokowana damulka z cegląstymi ramionami na policzkach i rozmazanym wskutek gorąca, aż fioletowym tuszem na rzesach. Widać czekała na kogoś, była sama i przedtem co chwila spoglądała na zegarek. Michał milczał, tylko ciężko dyszał.

Pierwszy żandarm przeszedł koło bufetu i stanął w drzwiach sali. Siedzieli zaraz w prawo od drzwi. Karol obrócony bokiem wyrósł raptownie ogromny i straszny ze światłem w oczach, taki sam jak wtedy, gdy kończył patrol na Czerniakowskiej. Parabellum — śliczne cacko, wskoczyło do dłoni.

— Ach, szepnął radośnie i odetchnął całą pierś, uspokojony. Na brzuchu Niemca wyrósł płomień wystrzału. Rzucił się w bok. Z zastójającego w śmierć spojrzenia umierającego wyrzucił dalej ich dwóch, nieruchomych w przerażeniu. Nie było czasu na certacje. Runął naprzód do drzwi, bijąc raz wraz z broni. Te zielone postacie zalały się jak kopnięte nogą wieże z kłoczków. Teraz dopiero, po wywaleniu całego magazynka i po śmierci tamtych czuł znów ożyła na chwilę cisza. Tak było zawsze. Michał zakładał jeszcze magazynek. Co do cholery, czy cierpi na delirium? pomyślał gniewnie. Tymczasem sala ocknęła się. Zapanał powłoch i historia. Dobrze odżywni, zażyli mężczyźni, znad pół czarnej czy butelki koniaku, dostawali niespodziewanie gwałtowne, szybkie ruchy i kołysząc się na nóżkach, pierwsi z przerażeniem znikali w tylnych drzwiach. Barman znał butelek białych coraz bardziej. Wyfiokowana damulka próbowała młdeć, ale gdy Karol kopnął nogą drzwi i ciężko stanął na progu, otworzyła histerycznie usta i zaczęła pisać. Spojrzął za siebie. Michał dochodził do niego, niespokojnym wzrokiem omiatając przez szybę ulicę. Karol odwrócił się, jakby coś sobie przypominając. Podszedł do leżącego jak szmata Niemca. Spokojnie, podniósł Bergmana, wyjmował po kolei magazynki, liczył. Na policzki wybiegały ostre kresy niby ciecica noża na skórę napuszczonej farbą. Zgarbił się, a potem ze skurczoną, szarżującą z nienawiści twarzą wyszedł na ulicę pchając przed sobą Michała. Nie było jeszcze ciemno. Przed barem kołysał się już krag światła. Napiś su nie można było odczytać. Przypadny przechodzień w teńzliwym migocie mógł odróżnić tylko niezdarny zarys jakiegoś ptaka ni bażanta ni wrony rozczapierzonego na szyldzie.

Karol dostrzegł na chwilę sylwetki ludzkie znikające w bramach, na balkonach z za szyb rozplaszczono nosy gapiów. Z głębi ulicy wychodziło tylko wezbrane chmurami niebo i jawiła się kopia kościółka św. Aleksandra czarna i zimna.

Ułyszał sygnał, którego się spodziewał. Syrenka wyla coraz bliżej.

Ruszył z miejsca ostrym krokiem w przeciwną stronę, ale po kilku krokach przypomniał sobie o Michał i zatrzymał się.

— Michał zakrzyknął cicho. Chodź, przódź... Ten stał jak przyklejony do ściany. Wiatr, jaki przelotnie zawiął, sprawił, że Michał mechanicznie poprawił kapelusz i odsłonił półcień jaki zalegał na twarzy. W migotliwym świetle wejściowej lampy zabłysły policzki białosci kredy. Gdy podszedł najpierw zdziwiony, a potem rozświeczone bliżej zobaczył iż Michał ma oczy zwierzęcia osaczonego i dobijanego. Strugami lała się z nich trwoga.

— Chodź idioto, ryknął, ty sukinyń, szedł na niego. Tamten tylko drżał.

Na ulicy zadygotały pierwsze strzały niewiadomych napastników. Karol skoczył pod mur. Teraz był już innym człowiekiem. Tak. Świadomość iż z myśliwego przeistoczył się w zwierzę, była niesamowitym, niewytłumaczonym bodźcem psychicznym. Jakby ktoś uderzył po dawno nie granej ale najczulszej strunie. Na Karola spadło znieścaka pragnienie mordu tych tam za mrokiem. A jeśli z głębi próbował wyrwać się jakiś teńzliwy, a może tylko rozsądniejszy podstęp, to Karol całą wewnętrzną mocą, całą wolą steżonych szczęk tłamsił go i unicestwiał. Jaknajprędzej, już już. Jak rzeka nieustannie, szeroko, spadała na niego struga nienawiści. W nurcie tym czuł, iż odnaleźli swoje miejsce. Dotknął lufy broni. Była zimna.

Chciał się teraz na moment wyswobodzić i spróbował uśmiechnąć się do wspomnień. Były ciepłą barwą w nurcie rzeki po burzy: matka, Halszka? Tych tam bał się najmniej. Michał cały czas milczał. Karol czuł tylko jego oddech i wlepione gdzieś w zmierzch oczy.

— Czego się boisz, zaśmiał się Karol cicho. W oczach miał źle światło. Spokojnie myślał. Ta cholera przez tyle lat była najlepszym przyjaciелеm o Boże; chciał splunąć, uderzyć, roześmiać się. Michał odwrócił się twarzą. Była nienaturalnie nalaną, oczy, niewiadomo poci, raz za razem chodzący wpoprzek ulicy.

Karol był znów zastójny.

— Masz, powiedział twardo i podał broń, masz, powtórzył niemal krzyżąc.

Michał schwytał go za rękę.

— Karol, Karol, dyszał.

Nie słuchał. Gwałtem niemal wcisnął mu do ręki Parabellum, a sam wbiegł do bramy.

Ulica już na dobre buchała strzałami. Niemcy, narazie wciąż niewidoczni, raz wraz przecinali seriami z automatów ulicę. Już stojąc w bramie Karol obejrzał się, Michał wyglądał jak uśpiony. Zwieszona bezwładnie ramiona mówiły o rozterce i niepewności.

— Cholera nie chłopak, pomyślał. Dopadł go jednym potężnym sussem i brutalnie, za ramię, wciągnął do bramy. Tam dopiero wezbrany strumień trysnął.

— Ty sukinyń, chciał krzyżeć, zrzucić. Zmierzył się pięścią. Ale po chwili spuścił ją powoli do dołu i milcząc wepchnął go na podwórze. Michał szedł jak we śnie. Po ustach pełził leciutki, ledwo widoczny grymas skrzywdzonego dziecka. Karol chciał wykorzystać tę chwilę. Ludzi się, iż jeszcze zburił w nim tę wyrosłą niewiadomo skąd trwogę. Ale gdy niby po długiej, bolesnej wędrówce docierający na powrót do celu, ujrzał jego oczy, a w nich jeden ogień:

— Boże, wyszeptał tylko i spojrzął bezradnie po murach.

Podwórze było takie, jakich tysiące znajdowało w całej Warszawie. Wąski tunel światła obity ponurymi i czarnymi ścianami. Nad nim ciemniejący skrawek nieba jak zza krat. Teraz już ze spokojem słuchał tętniącego głosu silnika na gazie, a potem gwałtowny zgrzyt hamulców. Ciężkie, lomoczące kroki. Wybuchał jeden, drugi, trzeci wprost w bramę.

— Chodź, szepnął przejmując Karol i pociągnął go wprost w niedomknięte drzwi. Zza nich cuchnęła kloaka. Kule rozpryskiwały się na murze. W milczeniu, gestem, kazał Michałowi stanąć za sobą. Podniósł Bergmana do ramienia. Brama nie była przyknięta. Rysowała się teraz wyraźnie jaśniejszym półkolem sklepienia. Krew przelewała się równo i spokojnie. Nie dawał jej tętnić w skroniach. Zaciśnął szczęk: tylko spokój, spokój.....

Uzmysłowił sobie poraż niewiadomo który, iż odwrotu właściwie nie ma. Dlatego, choć czuł w sercu chłód obejmujący jego wymęczone tymi latami ciało, nie bał się ani na chwilę obrazów, które mogłyby powstać, a o których tak dokładnie, tak do brzo wiedział.

Odechdyły precz wszelkie pragnienia: miłość i nienawiść. Pozostawała naga prawda, iż jedynym pożądanym godnym mężem

czyżny w tym kraju i w tym mieście jest wysoka cena śmierci. Na tle bramy zamajaczyły nieśmiałe sylwetki w hełmach. Pełni, które na chwilę zamilkły, zaczęły się wściekać na nowo. Słychać było gorączkowe, rozciągnięte głosy. Przez szyby, mroczne i tajemnicze, zdawał się dolatywać spłoszony trzepot ludzkich oddechów. Drzwi były wpołprzyknięte. Stanął tuż za progiem zwiżyły i nieruchomy. Za plecami czuł ciężki oddech Michała. Gdy pierwsze sylwetki Niemców wypelżyły z bramy, od razu dopadł ich świergot Karolowego peema. Niemiec idący na przedzie złamał się w pół jak po dobrym sierpowym w żołądek. Drugi odrzucił z łoskotem peema, ruchem, mówiącym o śmiertelnej trwodze a potem chwlebnie czepiając się ścian bramy i krzyżąc przenikliwe znikł jak i przyszedł.

Zagrzechotał znów huk broni nad ciastno sklepionym podwórkiem. Czeluść bramy była pusta. Karol, zlekka pochylony, wyszedł z kloaki. Bergmann spoczywał w ręku lśniący i chłodny. Michał pozostał. Gdy uprzytomnił to sobie, zawahał się:

— A może pójść i wziąć go za mordę? Ale po chwili odrzucił tę myśl.

— Szkoła czasu, niech cholera skłisnie. Gdy podszedł do bramy, była cisza. Strzały zamilkły jak i przyszyły: nagle. Niemiec leżał jak skopany, zbity pies. Cieniotko, coraz cienie jęczał. Chciał go w pierwszym odruchu dobić.

— Ty byś mnie nie dobił, nie dobił, co? pytał wystraszonych, skamających oczów. Ale już fala mordu odchodziła. Poczuł to jak ogromną ulgę. Zasznurował usta, pochylili się nad skrwawionym cieleciem, wyjął zaa pasu magazynki, podniósł Bergmana. To samo zrobił z drugim, który leżał przy drzwiach. Gdy zarzucał peemy przez ramię, znów ożwał się niecierpliwy szcokot niemieckiej broni. Kule grzały gdzieś z boku. Dopadł pędem kloaki. Michał chybotął się w drzwiach.

Natarał na niego zbliska i wepchnął do środka. Ujrzał jego rozszerzone i złatego może aż niesamowite w ciemności żreńce. Wepchnął mu gwałtem do ręki peema.

— Masz, masz, trzymaj. Zacharczał i zachwiał się jak podcięty. Przejechali się zdrowo po lewej, teraz po mokrej ręce. Peem musiał bić gdzieś zgóry. Uczucie przy wejściu pocisku w ciało — to mocne uderzenie kijem, po którym, naprzekór wszystkim, uczył słodczy rozpływając się coraz cieplejszymi falami. Nie widział już starganej w rozterce sylwetki Michała, człowieka, który próbował zwyciężyć lęk, rozpelżył jak oślizgły potworny gad po twarzą.

Zahuczały strzały. Klask pocisków uderzał krótko, spazmatycznie po murze a potem któraś tam z kolei seria zaśpiewała złowrogo po drzwiach. Niemcy znów podchodzili. Ręka — cała we krwi, rozpalona. Kazał się Michałowi rozciąć, rozerwać na piersiach koszulę, a potem po omacku zaczął owijać nią przedramię. Michał niezdarnie pomagał. Na podwórzu pozostały uchylone drzwi. Była to tylko wąska szpara, która ledwo pozwalała dojrzeć przez ciwległy kraniec podwórza i jasną plamę bramy. W niej znów zamajaczyły postacie. Karol zdawał sobie sprawę z tego, iż tutaj niedługo wytrzyma. Ogień szedł nie tylko z bramy, skąd jakiś niewidoczny peemista ustawicznie omiatał drzwi kloaki, ale również zgóry, z okien pierwszego czy drugiego piętra. W pewnej chwili podskoczył, otworzył na rozcień drzwi, sam przypadł w kacie. Z niebem wdarły się pociski. Jak wichor omiatały ściany. Karol nie czuł ich w oczach ani na chwilę. Był osaczony, wiedział, skazany. Ale właśnie dlatego tam, w głębi wyrastała siła, która kazała bez zmużenia żreńce patrzeć na strzały i wybiec na ustach naprzeciw śmierci radośnym, dziecięcym uśmiechem. Czui właśnie tylko ulgę, ogromną, nareszcie objawioną ulgę. Leżąc podciągnął Bergmana. Jeszcze teraz nie chciał umierać. Nie dlatego, iżby bał się śmierci, ale po prostu dlatego, iż nienawisć dla tych, którzy do niego strzelali, paliła się wciąż równym, silnym płomieniem. A przecież tu, w kloace, jakoś niefortunnie umierał. Sykając co chwila z bólu, dotknął palcem spustu. Gdy już wychylił się z bramy, wtedy to, właśnie wte-

SEWERYN POLLAK

GODZINA ŻYCIA

poezje

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”

dy Karol nacisnął. Piomyki uderzyły jedne po drugich prosto w oczy. Tam tylko, w bramie wyrwały ostro rozpaczliwy krzyk. Teraz, sprężyli się — Michał, Michał.

— Ten stał nieruchomo. W bramie, z której przed chwilą dolatywał tylko charakternego, ktoś krzychał obco ostrym, szarpającym głosem:

— Ergebt euch, ergebt euch!

Karol uśmiechnął się pełen mściwości. Głos ryczał znowu. Na podwórzu była jeszcze jasność. W kłócie panował mrok. Michał po raz pierwszy poruszył się. Karol wyszeptał:

— Michaś, musimy stąd wiać, bo nas zjedzą, wiesz najlepiej do piwnicy...

Zaraz po tym podźwignął się. Był w półkłęku. Podpełzał teraz pod ścianę. Czuł było amoniakiem. Ręka piekła. Odczuwał wyraźnie, iż coraz bardziej ją roznośilo.

— Michaś, już, już trzeba, szepnął znowu. Piwnica była tuż obok z klatki kuchennej, której drzwi były o dwa kroki w prawo. Trzeba więc było tylko ukazać się we drzwiach, jeden skok...

Michał o tym wiedział. Podniósł się i zgarbiony wyszedł na smugę światła. Zakrzyknął cicho:

— Karol, Karol!

— Co? zapytał, dobrze, już idź, idź, ja zaraz skoczę... Kłęcząc zakładał świeży magazyn.

— Karol powtórzył Michał, Karol — ja już nie mogę, nie mogę, zakał.

Ten milczał chwilę w osłupieniu, a potem krzyknął drząc na całym ciecie:

— Paszół won, paszół won!

Michał słaniając się stanął w drzwiach. Odrzucił w bok broń, tak żeby tamci widzieli. Spadła głucho stuknąwszy. Chciał jeszcze na chwilę ciężko złapać powietrze, chciał widać obrócić głowę do tyłu. Jeszcze raz. Ale nagle, spłoszony jakąś myślą, wtulił głowę między ramiona i ręce wyciągnięte ku niebu. Tak szedł przez podwórze ponure i nawpół ciemne. Z bramy wiał chłodny wiatr. Nie strzelali. Karol skureczony przypelzał za nim aż do progu. Spierzchnięty mu usta. Ręka zdawała się nie samowicie rosnać. Puchła. Gorączka.

Michał był na środku podwórza. Karol nie swoim, drewnianym ruchem podniósł peana na wysokość oczu. Nacisnął spust. Michał niespodziewanie zakolysał się, śmiejąc się kiwnął tułowiem, a potem jak kłoda upadł oczyma obrócony w niebo. Karol dzwignął się, był w drzwiach. Pality usta. Przed oczyma miał białą smugę mgły. Skoczył.

Gdy spadał po schodach w dół do piwnicy czy miał szeroko rozwarte:

Myślał: Samotność.....

Jerzy Piórkowski

TREŚĆ Nr 48

Jan Kott — Andersowcy. Stanisław Wygodzki — wiersze — Dąty — Zegar słoneczny. Henryk Elle — O datę premiery. Zygmunt Jan Wyrozemski — Prawda gospodarcza w zaczerpniętym kręgu. Paweł Hertz — Ucieczka z krainy Lambertów. Kandyd — Tak toczy się świat. John Berlow Martin — Pierwsze powojenne lato miasta Muncie. Kazimierz Brandys — Pasja i sztuka. Edward Csató — „Pan Damazy” na scenie łódzkiej. Edward Szuster — Dobre serce doktora Munthe. — Korespondencja — Przegląd prasy — Noty.

WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA WYDAWNICZA

P. Z. P.

POLECA JAKO NAJLEPSZY PODAREK GWIAZDKOWY

DOSTĘPNY DOSŁOWNIE
DLA WSZYSTKICH

WSPANIAŁE DZIEŁO

MARII I ZYGMUNTA
WOJCIECHOWSKICH

POLSKA PIASTÓW POLSKA JAGIELLONÓW

Format 25 X 17. Stron 480. Rycin 195.
Mapek 17.

Tablice rodowych 9. Wklejek barwnych 4.

Cena również dostępna dla wszystkich.

TYLKO 300 ZŁOTYCH

BOHDAN CZESZKO

W M A R S Z U



O D POZNANIA miało już być inaczej. Oświadczono to oficjalnie na jednej ze zbiórek. A mówiło się o tym już w marszu przez słoneczne dni dziewczęcej wiosny gdzieś od Zduńskiej Woli. W zimowym Kaliszu stało się to już chyba zupełnie pewne. Na leniwych poznańskich kwaterach pogadywali na serio jak to będzie z tym nocnym marszem. Wąsaty snajper pierwszego plutonu dziadka Spiechowicz kręcił z pietyzmem papierosa we wspaniałej bibulce strącając do kapiucha z uwagą, okrucy piekielnego fajkowego tytoniu. Zaciągał się uważnie śmierzącym dymem i głądził po swojemu: — „Ano patrzaj na co nam i przyszło — noca, powiadają, wędrować my będziemy... Dziś widziecie bracia lepszy. Na słonko popatrzywszy się idziesz — raźniej — i na ludzi, drzewa w śniegu... a teraz... ech skuczno...” I zaraz do gospodni: „A ty gołąbko zajca co go rano przyniosłem upiecz...” Z miasta chłopaki przybiegali za tytoniem nabiegawszy się — a kociołek u nas ech... „Onu by uprać albo co — zamamrotał niby to do siebie, ale nie prał ich. Wszyscy bykowali skrupulatnie, porozwalani na ziemi na materacach i opatrywali obolałe, pozbijane i obce od forsownych marszów nogi. Niechętnie pełnili bezcelową zresztą prawie służbę wartowniczą. Nikt przecież prawie nie znał języka niemieckiego, w których były drukowane wszystkie dokumenty w tych stronach. Z każdej drużyny chodziło codziennie dwu albo trzech ludzi do miasta. Przynosili tytoń, bibulkę, a często ustrzelonego gąsienic między opłotkami przedmieścia gąsienic.

Chorąży Pałkiś łowił po mieszkaniach pełne bezcennej zawartości torby sanitarne zagarnięte po Niemcach przez zapobiegliwych Poznańców. Znosił te torby na stepie batalionowemu łapuduchowi Bronasze, a wieczorami rozkładał się przy spirytusie nad swą zapobiegliwość i do brym sercem obiecując, że on polityczny zastępca napisze stanowczo na ten temat wzmiankę do pułkowej gazety. Kapral Franecki lypał wtedy porozumiewawczo na sierżanta Komara, który patrzył ze wstrętem na rozmazaną i po szczytach miękką twarz Pałkiego. Nie lubił tego „gnojka” jak go nazywał.

Kilka dni mrocznego bezwładu minęło szybko. Przez kwatery przewiał jak przeciąg rozkaz szykowania się do defilady i marszu. Rozwiał on nastroj świętowania jakiemu wszyscy ulegli. Postoje miały zawsze posmak nienapisanych w żadnym kalendarzu świąt.

— „Niech ja jutro u kogo zobaczę u rwaną guzik albo niech broń będzie za fletuszoną — zajebie was na śmierć w takim wypadku, byki. Skończyło się babci sranie...” — warczał jak zwykle szef kompanii Kuna.

Tak to się wszystko na dobre zaczęło...

Na drugi dzień przed świtem zwiali z kwatery ci, którzy nie mieli chęci defilować. Między innymi Komar, Franecki i podchorąży Symka. Było jeszcze ciemno i skręcał pod butami podmarznięty śnieg. Kroczyli swobodnie i zastanawiali się nad palącą kwestią zdobycia spirytusu.

— „W „Aquavicie” utopiło się podobno wczoraj trzech ruskich zdaje się...”

— „W cysternie się utopili ze spirytusem” — stwierdził Symka, który plotkował z babami po kwaterach.

— „Diabli wiedzą czy i taki dostaniemy” — wydmuchał Komar słowa w nastawiony kółnikier płaszcz. W chwili kiedy zbliżali się do mostu, wstawały już ze snu wypalone czworoboki domów i mrok rozpływał się w brudnej poświacie nastającego dnia. Pod murem palił się, zasłonięty od wiatru, wielki ogień z kawałków papy, dymiącej gęstym, czarnym dymem. Soczyste czerwony płomień barwił chybotał wie naokoło śnieg i wylądował z szarości sylwetki żołnierzy w waciakach, łowiących rękoma płomienie. Odwracali oni od żaru cynobrowe, nabrzmiały od mrozu twarze.

— „Niema jak w zenitkach” — stęknął niepoprawny malkontent Symka — „Wiek cały na dupie tu przesiedzą. Im front w głowie — wojna...” „Tyłowe byki” — do dał z zardrośnią patrząc na obserwatora

tych grzejących się z dala od ognia. Poprawił mechanicznym podrzutem ramienia obsuwający się automat.

Białym od świeżego drzewa mostem przeszli na drugą stronę Warty mijając z prowokującą pogardą pilnujących go milicjantów.

Spirytusu w Aquavicie nie dostali. W sprawie rozdziału wdała się w międzyczasie miejscowa żandarmeria. Symka, który był bezcelny, postanowił mimo wszystko coś nie coś wyskrobać. Komar i Franecki poszli w kierunku śródmieścia w celu przewałowania czasu jaki pozostawał do chwili rozpoczęcia defilady. Szczegółów o niej dowiedzieli się z afiszy gęsto rozlepionych na murach. Wałęsali się po ulicach, spenetrowali rozmielony na czerwoną cegłę rynek i tam w piwnicy ciepłej jeszcze od zgłiszcz, grubo opięty w granatowy drelch Poznań nalał im spirytusu do flaszek. Wtknęli je w torby z maskami gazowymi. Poznań kwekał, że miał dawniej w tym domu sklep, wzdychał: — „Ach! Pano wie!...” Patrzyli na niego ze wstrętem, po pierwsze dlatego, że był spasiony, po drugie z powodu tego sklepu. Franecki po wyjściu z piwnicy splunął zamasyżycie i zamamrotał: — „Pierona! Ja dwoje takich o!” — pokazał ręką na wysokości pasa — „w domu zostawiłem, zaś trzecie w drodze... A temu w głowie sklep...” Komara żgnęło po raz nie wiadomo który to, że prawie nikogo nie zostawił.

Spirytus popili w rozdmuchniętym przez bliski wybuch bomby wnętrzu niemieckiej księgarni, siedząc na stosach rozrzuconych książek. Następnie Franecki ostentacyjnie nafałdował na zagubiony portret fuhra. Spirytus był jak siekiera, pijąc go, czuli jak oblaża im skóry podniebienia i języki.

Pociągali następnie pod zamek i obserwowali zbierający się tłum.

Potem poszli dalej na most nad torem kolejowym. Franecki nabrał ferveru usuwając z jezdni gapiów, wiercił się i pokrzykiwał. Dał następnie nura i po chwili wychynął z ciżby z dwiema młodymi kobietami — znajomymi z kwatery. Ustawił je przy krawężniku i wówczas podarowały im one po jednym anemicznym, nie wiosennym kwiatu. Komar, który nie lubił przynawiać się do swego sentymentalizmu, poczuł się wzruszony. Nosił on ten kwiatek potem bardzo długo w portfelu pomiędzy dokumentami i wyrzucił zwiędły szczyłek dopiero gdzieś w lasach nad Nysą. Razem z wiatrem, który się nagle poderwał, w pierwszych tego dnia tnących ukośnie płatkach śniegu, przemaszerował w defiladzie ich oddział. Ruszyli wśląd za nim w towarzystwie kobiet, które odprowadziły ich za most. Na pożegnanie Komar pocałował młodszą w usta. Certowała się, że to niby tyle ludzi, ale podarowała mu ten nieobowiązuający jawnie pocałunek. Na policzkach jej topniały płatki śniegu. Wargi miała czerwone i pachnące ciepłym, domowym snem. — „Dziękuję Ci” — powiedział Komar wśród nagłego nawoływania Franeckiego. Był jej wdzięczny. Błogosławiła żołnierzy na drogę wypalonym szkieletem kopuła Targów Poznańskich.

W ogólnym zamieszaniu spowodowanym przez dołączające do kolumny tabory i działa, Franecki gdzieś zagubił się. Od tej chwili Komar szedł sam. Narastał wiatr i dmuchał jednostajnym zimnem w lewy bok. Usiłowanie zapalenia papierosa okazało się bezskuteczne. Komar przykucał do ziemi, wtykał głowę pod płaszcz — na próżno, mokre zapalniczki gasły uporeczywie. Zrezygnował z palenia i szedł kontemplując swą sobaczą dół. Na domiar złego zbudził się nieodłączny towarzysz każdej drogi — tępy ból pod kolanami.

— „Zaczyna się” — pomyślał. Usiłował bezskutecznie wgramolić się na jedno z dział 75 mm, których bateria miała właśnie kolumnę piechoty. Ponieważ mu się to nie udało, objął rękoma lewą działą i szedł tak jakiś czas oszukując ból. W pewnym momencie jezdni klasnęły nachajami po dymiących końskich bokach. I Komar odpadł od lufy jak dojrzały owoc, działą potoczyło się szybciej. Zeszedł na bok drogi i przyłączył się do korowodu takich samych jak on. Przyskro mu było, że oto leżąc z dala od oddziału i przeklinał chwilę, w której zdecydował się nie iść na defiladę. Powoli o garniała go senność — reakcja po spirytusie. Usłyszał nagle za plecami sapanie konia i odgłos kopyt. Znajomy głos mrucał: — „koleżanka bosonóżka tańczy tańce brzuszka...” Obejrzał się i zobaczył wóz zaprzęgnięty w kulawego konia o skudłaconej siwej sierści. Wóz był wypchnięty chaosem żołnierskich postaci poplątanych w dziwaczny supel. Dowodził wozem Symka, kompletnie pijany. I on to śpiewał swą idiotyczną piosenkę. — „Zsiadaj” — wrzasnął na Komara. — „Zbięram pijane niedobitki wielkiej armady” — Ryknął też

zaraz na jednego z żołnierzy: — „złaż pierdziu, daj usiąść sierżantowi. Dokąd cię będę wiozł myślisz... Ano już cię nie ma”. Ze stękanem wyszamał się z gestwiny ciała usmarkany młokos z olbrzymim snajperskim karabinem na plecach i pokuszył w stronę ścieżki. — „To hałaj dowódcy czwartej kompanii” — wyjaśnił Symka i niewiadomo pociągnął woźnicę po ciemieniu. Komar z uczuciem ulgi graniczącym z rozkoszą klapnął na wozie i pomyślał zasypiając natychmiast: „jeszcze pięćdziesiąt kilometrów...”

Z wozem rozstali się na progu wioski, w której batalion zatrzymał się w celu przeformowania się po defiladzie i krótkiego odpoczynku. Wyszukali kwatery swego plutonu huczając jak ul pijanymi głosami żołnierzy. Zwalili w kącie oporzadzenie i legli byle jak na podłodze wykorzystując każdą chwilę odpoczynku. Gospodni postawiła na stole olbrzymi sagan świeżo ugotowanych kartofli i miche kiszzonej kapusty. Obsiedli wszyscy ten sagan natłoczonym kręgiem i frygali gorące kartofle podzwaniając łyżkami. Chrzęściła w zębach kolącą zimnem kapusta. Tak jak i inni żarli chorąży Zaleski dowódca plutonu, porządkacz dziewczęcej delikatnej twarzy bez zarostu.

— „Nie śmierz ci jak widzę żarcie z jednego garka” — spytał Komar złośliwie.

— „Poczekaj mój sierżancie, odechce ci się jeszcze dzisiaj dowcipasów” — odciął Zaleski.

— „Wszyscy dziś cienko będziemy gwizdać” — burknął Komar poprzez parzące kartofle. W niedługi czas przybiegli goniec dowódcy kompanii wzywając Zaleskiego na odprawę. Wiadomo było co to oznacza. Wszyscy zaczęli gorączkowo przezuwać buty, zaplatywać rzemienie, przewijać owijacz i onuce. Robili to z nawyku, a nie z wyraźnej potrzeby. Wiadomo było przecież, że i tak nocy zacząć boleć po piątym kilometrze i żadne przewijanie nie pomoże. Miksza — plutonowy — dowódca drużyny — najlepszy żołnierz w całym plutonie, dogadywał w kącie Dymidec z racji nieudolnego niesienia przez tego ostatniego, erkaemu w czasie defilady. — „Skończ z tym” — warknął Komar, którego mierziło gadanie Mikszy — „pomyśl lepiej w jakiej kolejności ludzie mają nieść erkaem i dyski. Znowu będą się o to piekły w marszu. To samo radziłem reszcie szlaka” — dokończył zgryźliwie w spłódn twarzając całokształt gorczy, jaką wypełniała go myśl o dalszym marszu. Nadbiegł po chwili z odprawy Zaleski i po

PRZEGŁĄD SOCJALISTYCZNY

Ukazał się już nowy numer „Przeglądu Socjalistycznego” 10 — 11 (12 — 13) o następującej treści:

- J. Hochfeld — Człowiek epoki
- A. Krygier — Trzy okresy socjalizmu polskiego
- H. Świątkowski — Wielka Rewolucja Październikowa a niepodległość Polski
- K. Krejci — Czechosłowackie święto niepodległości
- M. Nowicki — Zasady uspołecznienia gospodarki mieszkaniowej
- J. Topiński — Struktura handlu państwowego
- K. Piotrowska — Człowiek w Planie Odbudowy Gospodarczej
- M. Rybicki — Uwagi w sprawie stylu życia działaczy politycznych
- J. Beluch-Beloński — Wspomnienie o Hermanie Liebermanie

KARTKI Z HISTORII SOCJALIZMU

- J. Durko — Ignacy Daszyński i niepodległość Polski
- D. Kłuszyńska — Ignacy Daszyński poseł Śląska Cieszyńskiego
- M. Zawadzka — Kontakty Daszyńskiego z ruchem robotniczym zaboru rosyjskiego
- J. D. — Zjazd Paryski i powstanie PPS

NA HORYZONTACH

W Polsce — W ZSRR — W Europie — Za morzami.

IDEE — MYSLI — ZAGADNIENIA

- S. Płoski — Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej
- M. Anhalt — Początki klasy robotniczej
- T. Głowacki — Ludwik Feuerbach
- K. Wojciechowski — Metody pracy Organizacji Młodzieży TUR
- A. Kwiatkowski — Dwuletni plan gospodarczy Czechosłowacji
- H. Grenlewski — Fragment teorii planowania
- Na marginesie II Zjazdu Literatów Polskich
- L. Bukowiecki — Ekran i scena.

Korespondencja
Z życia partii
Notatnik referenta.

Cena numeru zł 20.—

Redakcja i Administracja — Warszawa,
ul. Ignacego Daszyńskiego (Wiejska) Nr 18

swojemu wrzaskliwie podnosił ludzi, a do Komara służbowo: „sierżant zrobi przy bramie zbiórke plutonu i zamelduje... obciągnij fałdy Wojszewicz... gdzie torba do cholery...”

— „Pierwszy plutonik ze snu się ocknął!” — powołał ich na podwórku dowódca kompanii. Ludzie przebiegali w poprzek sinego cienia stodół i automatycznie ustawiali się na czoło kompanii w szyku marszowym, dopinając ostatnie guziki. — „Aasé!” — zawył Komar licząc wzrokiem ludzi w drużynach: „Gdzie ta swolocz Symka!” Symka przykuła i stanął na swym miejscu na końcu plutonu. — „No byku narzecz!” Potem zaraz spieszenie do Zaleskiego: — „Panie chorąży sierżant Komar melduje pluton gotowy do odmarszu...” W tej chwili przyleciał Goronia — zastępca dowódcy batalionu, — zdarł brutalnie konia tuż przy bramie i rozpoczął swą litanię jak zwykle od dania wszystkim obecnym do zrozumienia, że ich pochodzenie pozostawia dużo do życzenia. Franecki patrzył na niego w sposób, w jaki się patrzy na rozdeptane łajno. Nie używał nigdy przekleństw poza „pieronem”, którego wysłał wraz z mlekiem matki — robotnicy śląskiej. Reszta ludzi chłoneła rozdziewiającą geby niesamowite bluźnienie Goronia. Komar uśmiechał się dyskretnie a ze złością. Skończył jak zwykle: — „Ano. Marsz kutasy! Niech mi który odstanie w drodze...” Koń Goronia przysiadł na zadzie i cofał się przed lawiną ludzi wylewających się pośpiesznie z bramy na pokrytą mokrym śniegiem szosę.

Na końcu plutonu szli jak zwykle dwaj zastępcy dowódcy: polityczny i liniowy, to znaczy Symka i Komar. Po długiej chwili milczenia spowodowanej przeżuwaniem przekleństw Goronia, rozpoczęli rozmowę na oklepany lecz stale aktualny temat: jaka marszruta i ile kilometrów. Symka rozważał pracowicie możliwości „urwania się” i przejeżdżania trasy na jednym z samochodów mijających kolumnę.

— „Skaczę na pierwszy jaki się trafi” — z determinacją zakonkludował — „nie zajdę i tak”.

Komar jak zwykle nie mógł się zdecydować na tę jazdę. Miała ona lekki posmak dezercji, poza tym nie był on na pewno „cwaniakiem” w Symkowym pojęciu tego słowa. Zresztą chęć przejeżdżania trasy w zaskonstrowanym od wiatru zadziornym planie wewnątrz samochodu była bardzo podlegająca. I tak jak zwykle Komar z zaciętą patrzył na znikające we wnętrzu samochodu nogi Symki.

— „Widzi Wroś!” — pobekiwał Paliski na czoło kompanii. Komar, który w międzyczasie zmienił miejsce z Zaleskim usłyszał jeszcze jak Paliski skamlał do dowódcy: „mówi się tych dwu skurczybyków urwało: Symka i Staszewski”.

— „Niech się u mnie Symka zamelduje wraz ze Staszewskim na postój.” — „Sierżant będzie o tym także pamiętał.”

— „Tak jest, panie poruczniku!” — Komar mówiąc to odczuwał złośliwą satysfakcję. Jednocześnie zaś rozczulił się nad sobą, że oto on Komar — przykładny żołnierz nie dekuje się, ale idzie i będzie szedł w dalszym ciągu pomimo piekła jakie ma pod podszewkami.

Śnieg był dokładnie rozmielony butami i kołami pojazdów, poddawał się stopom jak piasek, była to dodatkowa trudność w marszu, którego nikt przy układaniu marszruty nie uwzględnił. Śnieg był od tego nieustannie macerowania zupełnie brązowy a w obie strony od określonej smugami rowów ciągnęły się garbate piaszczyste lśniącej zjawiskowym światłem i zagubione niedaleko w fioletowym mroku. Komar szedł z wzrokiem utkwionym w tył wozu taborowego czwartego kompanii, gapił się bezzwłocznie na rozkołysany zad tegiego konia wylaniający się miarowo zza wozu. Za jego plecami sączył się jednostajny głos Spiechowicza: — „Bywało brat ty mój, pajdu ja nad rieczku, kani mai pasutsja... a wot znajesz baby biello myjut...” Poprzez szelest mieszanego nogami śniegu kapłał w ucho beznamiętny szmer opowiadania. Nie miało ono celu, było niezamierzone, wypływało z konieczności zabicia nudy marszu i podzielenia się z kimkolwiek lub z nikim swoim byłym, ubożuchnym szczęściem.

Spiechowicz i jego przygodni słuchacze odnajdywali tutaj, w śnieżnej pustce za miastem Poznaniem, fragmenty swego byłego istnienia, z którego wyrwała ich ta sama konieczność co i miliony innych. W głośnym Spiechowicza, w głośnym o jakiejś rzece pluchotała własna rzeka każdego z nich. Nikt go zresztą nie słuchał, gadanie to było kanwą dla myśli, akompaniamentem dziadowskiej lutni.

Komara kołysało opowiadanie. Mechanicznie poruszała nogami i szedł, szedł, radując się ciepłotą jakiegoś obejmującego mózg i powoli spływała wół ku nabrzmiałym nogom. Systematycznie sunął wąż pulku. Od czasu do czasu podawał od tyłu jękiwy pokrzyk: „lewa wolna...” Wówczas mijał kolumnę samochodów oślepiając

grzącym światłem reflektorów. Gnały za nim przekleństwa.

Daleko na prawo, gdzieś za linią horyzontu oderwała się od ziemi, poszła wolno w górę seria czerwonych punktów. Artyleria pl. — wyjaśnił niepotrzebnie idący obok dowódca kompanii. Po chwili dobiegł z dala pośpieszny stukot eksplozji, przytłumiony odległością.

— „Pierony jeszcze sam latają...” — zachryczał Franecki i pociągnął ukradkiem z flaghy lypiac na Komara.

Później szli już w tępym milczeniu przepięcionym pogwarem rozmów i kłótni, powstających i milknących nagle. Chodziło jak zwykle o erkaemy. Na domiar złego jeden erkaem w plutonie był służbowy wg. rozkazu. Znacząco to tyle, że miał założony dysk i niesiony był bez pokrowca. Dysk uwiertła niosącego w szyję i parzył dotknięciem zimnego metalu.

— „Ze trzydzieści, przecie, jeszcze będzie, co — stęknął Franecki do Komara.

— „Z hakiem!” — Komar zawsze miał uzasadnione złe przecucia w stosunku do wszystkich marszrut, miały one bowiem zawsze zdolność do gumowatego wyciągania się.

Gdy odpoczywali w rowie wypełnionym śniegiem rozwaleni w rozpaczliwych pozach, Komar kwęknął: mówili ci Franuś, że się mapa skończy. Zobaczysz, że z dziesięć kilometrów odbije się na naszej dupie, minimum dziesięć. — Powtórzył z przekonaniem. Od czoła pulku przyniósł wiatr zszarpany podmuchami sygnał trąbki. Nieawistny sygnał dalszego marszu.

— „Wszystko powstań!” — Dowódca kompanii krzyknął to głosem niespodziewanie świątecznym. Ludzie dźwigali się z rowu opierając się na karabinach i automatach. Zakolysali ciałami i ruszyli dalej.

Napatoczyła się Franeckiemu i Komarowi kuchnia polowa, na której przysiedli z ulgą. Oparci o jej ciepły kadłub jechali jakiś czas, dopóki nie zęgnął ich oficer, niemniej od nich zmordowany, który nie mógł patrzeć na to jak „dwie kurwy”, jak powiedział, jadą na kuchni podczas gdy reszta maszeruje.

Marsz przybierał powoli kształty koszmara. Obręcz porządku pękła, ludzie przestali reagować na popędzanie i wezwania do zachowania szyku w kolumnie. Każdy zatrząsnął się w sobie i siedzi z uporem gnany bojaźnią oderwania się od stada. Tylko nogi bolały coraz dokuczliwiej i aż nadto realnie. Ból wypełniał ołowiem piersi, mięśnie ud i goloni pękały od nadmiaru krwi. Ramiona boleśnie obciążały w dół pasy plecaka, o żebra miarowo tłukł automat. Stawało się to, jak zwykle nie do zniesienia. Ludzie zasypiali w marszu. Co chwila zwalniał ktoś tempa i zbierał z drogi, narażając się na obudzenie przy pomocy bolesnego uderzenia zaprawionego przekleństwem. Istotnie, każda przeszkoda i zatrzymanie w jednostajnym ruchu sprawiała przykrość.

Plutony wymuszały się ze sobą i kompania stanowiła bezładny tłum żołnierzy trzymający się jako tako prawej strony szosy. Niewiadomo skąd znalazł się nagle Zaleski, przywlokł się do Komara i rzucił mu w ucho jedno pytanie za drugim opuchniętymi wargami: „Gdzie ludzie. Gdzie służbowy erkaem...” Zdenerwowało to do reszty Komara. — „Czego się piekiesz. Nie widzisz co się dzieje... Ludzie się znajdują na kwaterach o to bądź spokojny. Zresztą daj mi żyć, widzisz, że sam ledwo leżę. Na pierwszy nocny marsz, marszruta 70 kilometrów nagiła śmierć...” — Zaleski umilkł i nie zaczął swej zwykłej gadaniny o subordynacji, której za grosz nie mają byli partyzanci. — „Żeby tylko Goronia czort nie przyniósł” — zatroskał się.

Po tem wydobyl z torby notatnik i przy świetle polowej latarki odczytał nieskoroścone nazwy mijanych miejscowości. Poczęstował Komara i Franeckiego chlebem ze słoniną, ale nie chcieli. Trud jaki trzeba było sobie zadać przy przeżuwaniu chleba był za wielki. Na wschodzie za plecami niebo zaczęło się już dobrze przejaśniać, gdy dobrnęli do miejsca postoju. Pokładli się w zmarniętych bruzdach na przedpolu wioski i czekali na przydzielenie przez kwaterystrów kwater poszczególnym plutonom. Trwało to jak zwykle długo i było denerwujące. Wreszcie pluton zleka zdekomputowany zajął kwaterę w dużej chacie przy drodze. Ludzie tłoczyli się przez drzwi do wnętrza grzechocząc opórądem. W kącie stały dwie wystraszające staruchy — niemki tulące się wokół nękłego i niepotrzebnego światła naftowej lampki. Było to pierwsze zetknięcie się z Niemcami po długim dwumiesięcznym okresie. Staruchy wyraźnie drżały ze strachu. Ocknęły się z przerażeniem dopiero na dźwięk niemieczyny Franeckiego, który wrzaskliwie pytał je o słomę. Z przesadną ochotą przytaczają ją przy pomocy zwalistego dziada w drewnianych chodakach. Komar zaś siedząc na ławie chleb i spisywał na kartce ostatnich w marszu. Odechciało mu się spać nagle, gdy załaził do ciepłej izby i usiadł.

Kartkę oddał Zaleskiemu, który pokreślił głową i pchnął gościa z meldunkiem do dowódcy kompanii. Za oknem zdreptwali łącznicy zaciągali telefon. W izbie powoli uciszało się. Żołnierze kładli się pokotem na słomie. Komar leżał koło Miksy, który pedantycznie składał w kostkę mundur i spodnie, buty postawił w nogach na baczność i przewrócił się do tyłu zasypiając nieomalże w locie. Komar zasypiając usłyszał jeszcze jak do izby wkroczył Symka niosąc pod pachą zawiniątko i mrucząc „bosonóżkę”. Potem utonął w czarnej cześci snu, z której wyrwał go jeszcze na chwilę wyjątkowo głośne przekleństwo Zaleskiego, psiołującego na Symkę. — „Wykręci się” — pomyślał i popadł w głuchy sen.

Obudzili się na obiad o dwunastej. Po czym jak zwykle część poszła spenetrować najbliższe sąsiedztwo i zabudowania dworu, w którym kwatrowali. Przychodzili następnie i dzielili się spostrzeżeniami. W chlewie jest dziesięć świń... to było najważniejsze doniesienie. „Zgranda bezwzględnie” — pomyślał Komar. Franecki laził w pantoflach gospodarza po izbach i dziwił się zasiedzialemu dostatkowi sprzętów i urządzeń. Patrz, pierona! — szturchnął co chwila w bok Komara wskazując na coś godnego uwagi. Wyciągnął zza szafy schowaną naiwnie reprodukcję kiczowatego obrazu z rodzaju deutsche kunst, przedstawiającego żołnierza niemieckiego z głową złożoną na kolanach anielskiej niewiasty. Miał ten bochomaz wyrażać cichę żołnierską śmierci za wodza i ojczyznę. Komar popatrzył na obraz i zwrócił pytający wzrok na Niemkę, która z obawą patrzyła na obraz — czy go nie zbija. — „Dein Sohn ist wirklich gefallen”. Ja, mein Hansi. Im Osten beim Orel — z trudnością wymówiła nazwę obcego dalekiego miasta. Komar oddał jej obraz do rąk. — „Dawno już tutaj mieszkacie”. O dawno, ojcowie nasi już tu zakupili ziemię. — Podkreśliła słowo zakupili i dawno. — „Wiemy, jak wyglądało to zakupowanie” — uciął Komar rozmowę, która powodowała, że ogarniało go uczucie młodości. Cóż mógł żyć za uczucie w stosunku do tych ludzi — nienawiść. Wszak nie można żywić nienawiści do rzeczy nieistniejącej. Ci ludzie nie istnieli. Te dwie stare kobiety i mężczyzna z patriarchalną brodą trwali tu prawem bezwładu. Siła, która miała ich ruszyć z miejsca przestała działać na razie. Prawdopodobnie żal im było po prostu świń i reszty dobytku. Mężczyzna siedział na krawędzi studni wsuwał w gestwinę brody kostki chleba, które oddzielał nożem od skibki trzymanej w ręku i opowiadał o glebie, o nawozach, o pracy w polu, ze złością i dziwnym spokojem. Potem mówił jak wioskę zajęli czołgiści radzieccy. „Die Russen” — mówił. Spodziewali się strasznych rzeczy, tymczasem nic wcale się nimi nie zainteresowano. Przyszłość była dla niego zagadką. Rozkładał ręce: „weis ich nicht”. Komarowi podobalo się to w starym, że ani słowem nie wspomnieli o Hitlerze winnym za wszystko. „Twardy dziad” — pomyślał z uznaniem — „syna wychował pewno pierwszorzędnego esesowca”. — Franecki zresztą odniósł to samo wrażenie. — „Pierona Komar. Ale Dziad pieruński. Wartaloby go przystrelić w winkle gdzie”.

„Daj pokój Franuś on już i tak jakby nie żył” — uspokoił go Komar. — „Nastrzelasz się i tak aż do rygania”.

Świnie faktycznie na odjeźdźnym zgrandaży. Baby wrzasnęły, gdy usłyszały krótką serię z pepeszy w zabudowaniach. Zamilkły jednak pod ciężkim spojrzeniem Franeckiego, który następnie wythumaczył, że to tylko świnia i nie mają powodu ryć, choć bo to tylko jedna. Świnie umieścił na podwodziu, którą zarekwirovano w celu wzięcia poodparzanych ludzi.

Kwaterowali potem przez dwa dni w wielkim młyń i lekceważyli kuchnię batalionową.

Bohdan Czeszko



JULES SUPERVIELLE

(Ilum. Ewa Fiszer)

Stacja

Małe wytchnienie pośród nocy, gdzie sen bezszelestnie odchodzi z mych uniesionych powiek, powinno być stacją pocztową, gdzie dusza zmienia konie o trzeciej godzinie nad ranem. Oto są siwe konie z pilśnią; chrappy im nigdy nie zadrzają i nie usłyszysz nawet cwału z pod cienkiej kory nocnej ciszy. Odnaleziony w łóżku własnym, pozwalam ciągnąć się po drodze, chociaż rozpoznaję jej nie mogę, kołmi kierować i pojazdem. A to nie serce tylko bije i po swojemu głośno liczy te krótki, co były fałszywe z odwagi razem i z gorczy. Pod zwałiskami snu i nocy chodzę niepewnym krokiem drżącym po dniach dalekich i po bliskich, pomiędzy dziełmi się ukrywam na szkolnej ławie bardzo niskiej, lecz to pytanie zawsze żywe: — ktoś jest tak bardzo nieszczęśliwy? — Francja na pół rozdarta dzisiaj — Jakich — że cierpieć jeszcze czekać, Kiedy i honor nawet przepadł? Zbyt smutny aby przerwać ciszę wśród nocnych cieni we łzach mileję, potem już tylko szukałam ścieżki wiedzącej kręto w dzień jutrzejszy. A zaprzęga koni ciągnie dalej — mija Historię, młodość, sławę — tak, pędzą, pędzą, aż nie wstanie ranek, zbyt mały, zbyt zwyczajny.

EWA FISZER

Zabrałam, odchodząc w ciemność, twoje oczy i usta i ręce chociaż mogą je widzieć gdy myślą nie jesteś ze mną inni o każdej porze. Obchodzę przy tobie życie, lecz kiedy, a to jest częściej idę wieczorem sama ono ze mną się nie liczy oblewa wokół jak morze. Nie umiem przy blasku latarni, nie umiem bez blasku latarni Tak jasno myśli wytyczyć, by trafić nogą w sam środek taflę zwykłego chodnika. — Gdzie jest obiecany księżyc?

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

Wracasz do swego imienia i głosu, oto dom, który nie jest kryjówką.

Bronzowe dzieło nie stronią od wyprostowanych, zbłąkany ples obwajać wieże twych spodni, kupcy są uprzejmi.

W dniach zagłady zapomnienie żyjących było jak bunkier z powietrza — litościwie tylko szpicla ciekawiał twój los.

Ty, któremu odmówiono wówczas ludzkiej twarzy, wybac mi, że walczyłem daleko.

TADEUSZ KUBIAK

Ziemia jest głodna

Ziemia jest głodna. Małutka jaszczurka rozchyla pyszczek i pol spragniona, jak pliszka ledwo wykute pliszka, tocząc z języka kropkę ciepłej sily.

A dzieło to się świętem na przedpolu, pomiędzy jednym a drugim okopem, gdy śpi armaty, gdy śpi karabiny i gdy śpiwają zmęczeni żołnierze w obu okopach tę samą piosenkę — A są w piosence sarnie oczy dziewczyny i matki siwe, zalosne jak wierzby i jedne słowa są — choć oboobramujące i jedna prawda — ludzi wojujących.

Zaś dwa zajęczki — dwaj płowi tancerze, na przekór srogim, wosatom strategom między liniami lekkomyślnie biega, przynosząc w pyszczkach, jak zielony rozkaz z linii na linie żółbia kończyn świeżych, A w konieczności jest ta sama piosenka, choć oboobramująca — sarnie oczy dziewczyny, sily włos matek, głód i chłód żołnierzy.

Cóż, kiedy ziemia marszczy się jak niedźwiedź, który napróżno szuka pełnych barci, który jest głodny, który łaknie krwi...

I w chwili kiedy jaszczurka spragniona karmi jak unie i w chwili, gdy zajęczki, a ptaki słonec niosąc w piórach niebo jak kielich aż do dna spełniają — armaty wznoszą swe stalowe ryje i poczynają bobrować wśród leszczyn —

zegnajcie wtedy niepotrzebne słowa, sarnie spojrzenia czekających dziewczyn i siwe włosy plonące wśród dachów, w które ugodził pocisk. Do ataku!

HELENA JAWORSKA

Moje miasto

Gdy ulicami twymi chodzę,
miasto poległych domów, ludzi żywych,
gdy pod stopami tętni codzienny
bruk, do którego krok mój przywykł,

gdy patrzę w okien twoich pustkę
wiatrem przewianą nowym, serce głodne
chlone smak życia. Znów na ustach
twój zmartwychwstały czuje oddech.

Jam nie przechodniem ani gościem
wśród tych rozdartych murów, wień pogiętych,
gdzie żywa zielen z martwych kości
wyszcza w niebo słońcem splete.

Tu z męką ludzką sprzygnięzonym
wiersz mój wyrastał z bruku. Rymem twardym
celnie uderzał. Gniewem płał
w latach rozpacz, śmierci, wzgardy.

Z twoich kamieni wykrzesalem
żarem wezbrane słowa. Tutaj wrosła
w każdy ślad kuli, w muru załam
młodość gorąca, Tu mi zostań,

by nadwilańskich wiatrów technienie,
wilgoć młodego wapna, zapach cegły,
splesn szorstką strofą z garścią ziemi
przesiąkną sławą dni odległych.

Warszawa, wrzesień 1946.

W ogrodzie

Zanim jaskółki w wyblakły błękit wpletej
dosięgniesz myślą lekką jak powietrze,
potkniesz się gdzieś po drodze o mocny zapach
mlecy,

albo lot przedki z nieba ci ją zetrze.

Raczej beztrodsi wzrok swój powierz jabłoni
sączącej ciepło rumiane z galezi.
W cienistej głębi czasem tylko promień,
zmylwizy drogę, żenice ci zwęzi.

Gdy nad radością swoją ostrożnie przyklekasz
jak uśmiech dziecka bezbronną i czystą,
podaje ci spojrzenie i rączkę maleńką,
roztrzępotaną jak wiosenny listek.

Sierpień, 1946.

ANNA KAMIEŃSKA

Oda do rzeki miejskiej

Śnie smutnych rzek.
Kiedy widzę jak z czystych dolin,
korowodów gęsi, spod piersi chłopców
wpływasz męcznie
w przedmiejskie szlasy,
gdzie się sączą w cieble fabryczne jady,
garbarniane plany, tęczowe brudy,
tuszczów gęste oka —
i już się niebo blaskiem dna nie tyka
i już cię mosty w grzmiecie biorą pęta,
rzeko — epoko przemian, war dostojny,
pod gnojnym beltem wyrzucenia kwiecie —
narodzie, który dla systemu prawa
dziś się wyrzekasz blasku i łazienki,
auta dla byle sprytu czyszcibuta.

Znam twoje imię bystre,
strug współmnie górzystych, skalnych,
które w sześć obrotach głowy na płasek zmleła
blond dno morza.
Płyniesz. Twa kropka każda się przotacza,
każdy żwir ciężko fulom się odrywa,
o brzegi ślini.
Ty, coś spod tydek chłopcom wiejskim rwała,
pędziła turbin ostrożeń kolia,
rybom maciela szlali —
zwalniasz biegu oto, powściągasz pędy.
Późny przechodzień, choć śpieszy się, staje
i szuka rzeki, gdzie w clemności leży.

I gdzie jest plusków twoich wdzięk,
gdy czasem
mkniesz pod dworem,
a ktoś zbiegał z góry?
Gdzie kropel polot, co z kłjanek prysną
na dziewczyn śmiechu?
Gdzie chłodu kawały dzwoniące w wiadrach?
Gdzie lustro? gdzie wszystko?
A tu się wspina w wodociągów wieże,
w beczki i rury, tłocz się i rozprężaj
w gardziele kranów, w wąskie zlewów ścieki —
wodo, twa szczodrość w górę się rozpiętra
po wszystkie piętra. I myjesz i polisz.
Wodo i chęci brud się tobie nie ostoi,
i ten zbawiony, kto się kapie codziennie,
twój kryształ z nocy małżonków rozgrzesza,
z narodzin maże i w śmierci upieszcza.

Kaczeniec miejskich twoich łak —
gruźlica.
A jak cię chwalić,
żeś w miasto raczyła wpłynąć
i stanąć:
tym, co chcą myśleć — alegorią życia,
zdrowym kapielą,
cierpiącym pokusą.
Śnie smutnych rzek,
pragnienie dom szklany.

ROMAN KAMIŃSKI

* * *

Pod twardym ciosem padają jak drzewa
przedwczesny zachód zamknawszy powieką
i nie żal temu kto śmiercią dojrzewał
dwa światy żegnać: przyziemny i lekki...

luk triumfalny na niebie widziałem
wzniesiony z czystych, syberyjskich śniegów,
lecz przedko zniknął, w błękit przewiał cały
i wówczas ciszy dotknął brzegu,

też ciszy która paruje ku górze
oddechem ziemi — wieczny odpoczynek.
luk triumfalny kiedy się powtórzy —
baranek lśniący weń spłynie...

TADEUSZ BOROWSKI

BITWA POD GRUNWALDEM

I.

P O SZEROKIM, zalanym słońcem
dziedzinie poessmańskich. ko-
szar, jak po dnie głębokiej studni,
wkopanej w kamienne ściany budyn-
ków, glucho, zaciecie wbijając w beton
takt, szedł Batalion i śpiewał. Rece je-
go, odziane w zielone rękawy odziedzi-
czonych po żołnierzach z SS kurtek,
podnosiły się energicznie do pasa i o-
padały ku ziemi w gniewnym, jednoli-
tym zamachu, jakby to maszerował nie
Batalion, a kroczył ufny w swą siłę i o-
chryply śpiewem jeden zwielokrotnio-
ny człowiek. Tylko pstrokate nogi Ba-
talionu, nakropione gdzieśgdzie jas-
ną plamą wojakowych chodaków, ma-
ciły wojskową jednoznaczność wyrazu.

Batalion, podobny z lotu do trzech zie-
lonych gasienic o przegowanym, sfaldo-
wanym grzbiecie i nieruchomym tulo-
wui, obszedł sztywno dziedziniec, przy-
walony drgającym słupem słońca, minął
kolumnę rośliwych ciężarówek amerykań-
skich, które wytrzaszały ze swego wnętrza
jak z worka z gaiganami jaskrawą
zawartość ludzi i bagażu, przybił gor-
liwiej beton pod wysmukłym, świeżo
malowanym masztem, ponieważ wiatr
zarzucał nań jak na wędkę barwną, szma-
tę narodową, zelzał pod kupą balów,
drew, ociekających igliwem młodych
sosen, ławek i krzeseł, przygotowanych
na wieczorne ognisko; skreślił ostro pod
oskłoną niegdyś halą, w której odby-
wały się do niedawna patriotyczne wie-
ce esesmańskie; zachrupotał wielonoż-
nie po szkle z wybitych dokładnie
szyb; urwał wpół słowa śpiew i wsunął
się jak w tunel w mroczną czeluść hali,
odgródną od placu ostrym słonecznym
blaskiem i miesistą, szerniałą ziele-
nią świeżo ciętych galezi. Osłepiająco
kredowy wąż kurzu, który włókił się za
Batalionem, zwinął się u wejścia do ha-
li, zszarzał, przypadł do ziemi i rozde-
ty przypadkowym podmuchem wiatru,
napęczniał, pękl, wzbił się w powietrze
i rozplynał się w nim bez śladu.

Siedząc z kolanem przy podbródku
na wąskim, twardym parapacie okna na
trzecim piętrze jednej ze ścian studni
i wygrzewając się nago na słońcu jak
sparszywały pies — przeciągałem się
sennie, ziewałem z uznaniem i odłoży-
łem na bok zorganizowaną w którymś z
pokojów oficerskich książkę, opowieść o
bohaterskich, wesółych i chwalebnych
przygodach Dyla Sowizdrzała i Lamma
Pasibrzucha.

— Panowie żołnierze — powiedziałem,
odwracając się do sali, żeby z ko-
lei wystawić na słońce plecy — Batalion
pomaszzerował do kościoła na mszę Ar-
cybiskupa. Dobrze spełniłście swój o-
bowiazek wobec Ojczyzny, która wszę-
dzie na świecie jest tam, gdzie wy je-
steście. Wolno spać dalej.

Sala poprostu po żołniersku śmier-
działa zastarzałym, słonym potem nie-
mytych genitalii. Pod niebielonymi
ścianami, zdobnymi w bogoojęzyczne,
hitlerowskie sentencje, stały dwa szeregi
żelaznych, piętrowych łóżek; przez
środek szły z gruba ciosane stoly, a pod
ich nogami waleśało się parę taburetków
bez oparcia i blakłała się bezradna jak
zagubione dziecko emaliowana spluwa-
czka. W powietrzu bzykały cienko wy-
pasione, leniwe muchy i ciężko oddy-
chał rozspani ludzie.

— A jak maszerowali? Jak wojsko?
Bo na ćwiczeniach laża jak muzułman
po błocie — odezwał się podchorąży Kol-
ka, który spał przy ścianie od drzwi. —
Olbryzi i żyłasty nie mieścił się w
skąpych łóżku. Chociaż z okazji rozdzia-
łu niemieckich marynarek pokłócił się
z oficerami i postanowił bojkotować
mundur; leżał w nim cały dzień na
łożku, dusił się od gorąca i bił podkuty-
mi butami o żelazną poręcz, syjąc za
każdym poruszeniem furi słomy z prze-
gniłego siennika na dolne łóżko, bar-
łóg, na którym sypiałem. Krostowatą
twarz zwracał nieodmiennie w stronę

okna i patrząc bezmyślnie na mieliznę
parapetu, lapeczywie wstuchiwał się w
śpiew i tupot Batalionu.

— Polska piechota maszeruje dobrze,
gdy ją polscy prowadzą oficerowie —
ku chwale Ojczyzny — wykrzyknąłem,
zeskakując z parapetu. Plecy zagrzały
mi się tak, jakby je kto skrobał rozpa-
lonymi szpilkami. — Przez sześć lat w
lagrze piatkami laził, teraz odpoczął
dwa miesiące i znów laża, chwala Bogu
i Ojczyźnie, po czterech, a zamiast ka-
pów — oficerowie na czele. Uczyć ma-
szzerować to potrafią, ale żeby kucharze
żarcia z kuchni dla żydówek nie wyno-
sili, to nie — dodałem, patrząc obojęt-
nie w przestrzeń.

— To pan do mnie kij przytykasz,
jeżeli dobrze zrozumiałem — warknął
gburawo choraży, który czytał nie-
miecką książkę o Katyniu i zdjąwszy
rogowe okulary z nosa, zamrugał ku
mnie zaspanymi oczyma krótkowidza.
Uporczywie chodził w obcisłych, czys-
ciutkich slipach, świecąc muskularnymi
węzłami ciała. Od stóp do głowy pokry-
ty był przyblakłymi wzorkami tatuażu,
jak zakurzony, gliniany talerzyk. Na
prawym udzie pięta się ku pachwinie
gruba, krzywo wyrysowana strzała, a
czerwony napis wskazywał nieomylnie:
Tylko dla Pań.

— Jak kto ma dyżur w kuchni, to
niech pilnuje, żeby nie krał. Patrzy
choraży, czy kucharz kraść zdąży dla
żydówki w ciążę — rzucił od drzwi Ste-
fan, który uczył się angielskiego i szep-
tem powtarzał słówka. Cisnął książkę
na stół i bijąc buciorami o kamień po-
dłogi, podszedł do okna. — Znowu su-
kinsyny gotują na węglu — rzekł, wy-
sadzając głowę za okno. — Jak mają
kuchnię elektryczną, kotły i wszystko,
co tam im trzeba dla nas, to co gotują
w kuchence? Jasne, że obiad dla ofice-
rów. Niby wszyscy męczennicy z obozu,
bracia, koledzy, ale do maszerowania na
mszę, a nie do garńki. A jak ci się podo-
ba taki kontroler, co o tym wie i książecz-
ki czyta z obrazkami? Jakby wlaźł w
tyłek Pułkownikowi, toby nie wylazł, aż
dopiero z PPodporucznika.

Parsknąłem krótkim, pochwalnym
śmiechem. Choraży poderwał się na
łożku, uderzył głową o ostry kant gór-
nego, zaklął ordynarnie na temat piecio-
wy, poglądził się po rzadkiej i sztywnej
siwizni i rzekł ze wstrętem:

— Nie czeplaj się mnie, ty wyskrob-
ku bolszewicki, póki się ciebie nie cze-
piam. A jak ci się nie podoba co, to won
z wojska — Sutki piersiowe, ozdobione
para wytatutowanych uszu i sinymi
kropkami, imitującymi oczy, zadrgały
mu spazmatycznie, jak pyszczek zająca-
ka. — Kradną, kradną! Nie szcze-
ka, jak nie złapałeś. Dobry pies nie szcze-
ka, ale złapie i gryzie.

— Właśnie, właśnie, gryź pan, panie
choraży. Pan jesteś psem od łapania.
Pana trzyma Pułkownik na smyczy.
Hau, hau — zaszczekał chrypliwie Ste-
fan i zmrużył złośliwie maleńkie, wy-
pukle oczki. Zza wykrzywionych ner-
wowo warg zaświeciły zęby, równe
i białe jak u psa. Chodził wzdłuż stołów
wyprężony, jakby był przywiązany do
budy.

Choraży powoli wstał z łóżka. Pod-
chorążak Kolka poruszył się z zaintere-
sowaniem i wyjął pięść z pod głowy. —
Siennik zachrząsał i słoma posypała
się na dolne łóżko. Zmarszczyłem z de-
zaprobatą brwi.

Z dziedzinca zacharczała odjeżdża-
jąca ciężarówka. Doleciały nagłe strzę-
py jaszgotliwego gwaru i umilkły jak
nożem uciął.

Jednocześnie zaś chory Cygan, któ-
rego omal nie utłukłem w walce o lep-
sze miejsce w wagonie podczas trans-
portu do Dachau, poruszony nagłą ciszą
podniósł się z jękiem na swoim łóżku.

— O, ludzie, ludzie niespokojni, zno-
wu się wam bić zachciewa — zaskomlił,
pociągając placzliwie nosem. — Mało
wam jeszcze, że was bieda bije? Ale nasz
Polak, nasz brat zawsze głupi. W liżce

wody chce utopić brata. I przytknął
sina, wychudzoną twarz do poduszki w
czerwone maki, którą przyniósł z noc-
nej rajzy po bauerach. Cierpiał od kilku
dni na ciężkie rozwolnienie żołądka. —
Naćpał się niedogotowanego mięsa ba-
raniego. Leżał nieruchomo, cierpliwy
jak chore zwierzę. Wolał zdechnąć niż
pójść do szpitala, pamiętał bowiem szpi-
tal z małego kacetu Dautmergen.

Choraży sztywno usiadł na łóżku.
Podwinał pedantycznie wystający róg
prześcieradła, jedynego zresztą w tej
sali. Przebiegał nerwowo palcami u nóg.
Chwylił książkę, przewrócił z szelestem
parę kartek i tępo wpatrywał się w fo-
tografie grobów w Katyniu.

— Nie będzie awantury — pomyśla-
łem rozczarowany i wychyliłem się
przez parapet.

Pod kamiennymi ścianami koszar, na
wąskich pasach zieleni, między roz-
walonymi stertami gnijących śmieci,
które wonią zarażały cały dziedziniec,
pełzały w górę anemiczne drzewka kło-
nów i szczerliwie krzelił się tuż nad be-
tonem kwitnący czerwono żywopłot. —
Wyżej, nad drzewkami i żywopłotem
w wielu szeregach bliźniaczych okien
zwisły ze sznurów strzepy różnobar-
nej bielizny i kręciły się na szpagatach
świeżo malowane drewniane kuferki,
wystawione na słońce, aby wyschły.

Na parterze, tam, gdzie mieszkali
prominenci, szedł rząd weneckich, rów-
no oszklonych okien, dołem tonący w so-
czystym cieniu, a góra — w słońcu jak
w złotej farbie. Z parteru, z pięter,
gdzieś aż z pod strychu, dary się chra-
pliwie niezmordowane radia.

Za bramą, której pilnowali obcy żoł-
nierze, ciągnęły po autostradzie kolum-
ny aut, ciekli nieustannie wąski stru-
myczek rowerów, barwne, letnie sukien-
ki migwały wśród bujnych, mocz osadzo-
nych w ziemi platanów.

Tam właśnie był świat, do którego
puszczano za dobry marsz — za dobry
meldunek, za sprzątnięcie korytarza, za
lojalność, za niezłomność, za Ojczyznę.

A w środkowym skrzydle budynku,
na drugim piętrze, tam, gdzie były
Kuchnie Zgrupowania Wojskowego Al-
lach, z malej, zardzewiałej na brąz ru-
ry, wystawionej nonszalancko przez
lufek — snuł się cichutko niebieski, de-
likatny dymek i drząc, cieniutką smuż-
ką rozpraszał się ukradkiem w powie-
trzu.

— Ładnie jest, bracia, na świecie —
westchnąłem z udanym smętem — ale
cóż, człowieku; siedzisz zamknięty jak
za Niemca, przepustki ci na świat nie
dadzą, bo nie umiesz się liźać, przez
dziurę w murze nie wyjdiesz, bo ostrze-
ła, wiadomo Heftling, a jak siedzieć. —
Jak komu syn barana przyniesie, albo
Niemkę przyprowadzi, to może siedzieć.
A ty? Siedz jak głodno i do domu da-
leko. Żeby chociaż nie krał! Byłoby
lżej, że wszystkim jednakowa dola... Ale
do czasu, do czasu...

Przez cały czas patrzyłem z pod-
zmużonych rzęs na chorażego. Choraży
poruszył się niespokojnie na łóżku, usta
drgnęły mu złowrogo. Ale nie powie-
dział nic. Wyciągnął z szafki mundur
i zaczął się ubierać, sapiąc zlekka przez
nos. Zaciśnął wargi i patrzył w ziemię.

— Pan choraży pewnie na mszę
grunwaldzką — zapytał obojętnie Kol-
ka z drugiego końca sali.

— Nie, panie podchoraży. Pójdę na
kuchnię sprawdzić. Ale jeśli nie znaj-
dę! — mruknął złowieszczo przez zaciś-
nięte zęby.

— Znajdziesz, panie choraży, znaj-
dziesz — zanucił Stefan. — Uważaj pan
tylko, żeby panu synka nie złapali, bo
kto pana da jeść? Pułkownik barana
nie przyniesie.

— A ty, Tadiusz — podchoraży Kolka
przełożył nogi przez poręcz łóżka — nie
pójdiesz na Grunwald?

— Nie chce mi się. Może pójść do
teatru? Podobno na ognisko niespo-
dzianki szykują. A co ciekawego na
mszy?

— Idź na mszę — namawiał leniwie Kolka. Zapiął ręce w spodnie i czochoł się z zainteresowaniem. — Idź na mszę, mnie byś opowiedział, panu Redaktorowi byś napisał do gazetki. Może da ci gulasz? Gulasz dziś na obiad.

— Da i bez tego. Codzień mi zupy daje.

— Na dziewczynki byś popatrzył... A nie chciałbyś zobaczyć Arcybiskupa?

— Cóż jest między nami spólnego? — rozłożył ręce z emfazą.

— Mamy tak różne doświadczenia życiowe! On całą wojnę był gdzieś tam w wielkim świecie, co to wiesz, bohaterstwo i Ojczyzna i trochę Boga. A myśmy mieszkali gdzie indziej, co to brukiew, pluskwy i flegmony. On napewno jest szty, mnie się chce jeść. On na dzisiejszą uroczystość patrzy pod kątem Polski, — ja gulaszu i jutrzejszej postnej zupy. Jego gesty będą niezrozumiałe dla mnie, moje zbyt tuzinkowe dla niego, a oboje sobą troszeczkę pogardzamy. A Grunwald? Albo mi źle tu na parapecie: słońce przypieka, mucha bzyknie, miło się z sąsiadami pogada — ułoniłem się w stronę chorążego — a wszystko widać jak w teatrze. Zresztą — dodałem rzeczowo — jeszcze go nie ma. Dopiero generalicja podoła godnie i w ordynku na świętą mszę, a nad generalicją polata dym i zapach gotującego się dla niej obiadu.

Na czele posuwał się Pułkownik, w mundurze, skrojonym przez miejscowych krawców na angielską modłę z koca, koloru przywiedłego liścia. Widziany w silnym skrócie, Pułkownik podobny był do masywnego kloca o polerowanej słońcem głowie i sztywnych nogach, sunął bowiem godnie i prosto i z wysiłkiem markował wojskowy, energiczny krok. Obok ciągnął Major, owinięty w dziewczęzi zieloną niemiecką mundurą oficerską. Ciskał rekoma ku Pułkownikowi, coś mu widać po kaznodziejskim tłumacząc, może o wywrotowych fermentach w Zgrupowaniu Wojskowym Allah. Za nimi, jak gromada niesfornych dzieci za nauczycielem, pętało się nieczłowieczne stado zielonych i czarnych kurtek, gestykulujących rak, nad którymi podskakiwały krasne głowy w furazerkach, chłicie posypanych narodowymi barwami.

— Ze też ich Niemcy nie zdążyli wybić! — Stefan oparł się w zadumie o parapet, patrzył ze złością na dziedzińce. Czarne, sterczące włosy lśniły jak sierść psa. — Do końca świata już tacy zostaną. Polska, Polsko, dla Polski. Był zdaleka od niej mieć dwie miszki zupy! Jaki ja byłem głupi, jaki głupi, głupi! — Odechylił się od parapetu i płaską dłonią pisał się w czoło. — Przecież sam widziałem, trzymałem tę hototę na bloku, karmiłem, przedstawiałem się za nich, kradłem żarcie głupim Cyganom.

— Nie chwał się, blokowy — przerwał ostro podechorąży Kolka, a Stefan odwrócił się do sali — byliśmy przecież w jednym obozie. Jak kradłeś, to dla siebie masło i chleb, a dla nich co najwyżej — zupę.

— A miejsce kto im dał na bloku? Czyste buksy, czyste koca, napchane sieniaki? To mało? Wyżyliby na komandzie?

— Oczywiście się powietrze, jakby zdechli — dorzucił pogodnie, patrząc ubawiony, jak Stefan, były kolega flegger z Birkenau, potem lauffer i pipel esmański na malej komanderówce, od którego raz, że nie dość szybko ustąpiłem mu z drogi, dostałem uważnie po mordzie, wreszcie blokowy na najbogatszym, szonungowym bloku, z którego zupa kotłami, a chleb dziesiątkami bochenków wędrował na lager w poszukiwaniu papierosów, owoców i mięsa dla blokowego, jak taki Stefan przechwala się teraz, że uratował życie paru polskim oficerom z powstania, którzy dziś nie chcą mu dać do syta zupy tytułem rewanzu.

— A pamiętasz — ciągnął w rozgoryczeniu — jak w Allachu Pułkownik? Przynieśli mu młynek od kawy, wyżebrał od kogoś trochę pszenicy, usiadł na przycz i — nie, tylko młynek i placiki piec. Tu, rozumiesz świat się przewala, artyleria esmańska w obóz, jakieś kobiety posmazyły się, wsie naokoło pali się, chłopek poszli na rabunek z nożem, amerykańanie przychodzą, szal, zbra-

tanie ludów, koniec wojny! A ten — młynek, placiki i do latryny lata. I już taki ważny się zrobił jak —

Podniosłem obie ręce do góry. Stefan umilkł speszony. Wtedy, korzystając z okazji, zadeklamowałem patetycznie:

Ustalają się hierarchie,
brat poznaje wreszcie brata.
Kręci młynek, mieląc mękę
nasz Pułkownik pan Kuriata.

Drugą miszkę dostał zupy,
więc się poczuł silny władzą.
Ja, ja mogę już do służby,
niech mi tylko zjeść co dadzą.

Pułkownik, ostro cel!
Pułkownik, mękę miel!
Niech się klin wybija klinem,
pułk stworzymy ci z kasynem.

za wygranie każdej bitwy,
damy zupy — cztery litry!

— Tak było, masz rację, Stefan — pochwalilem. — To mój wiersz, panie chorąży. Dobry, aaa?

Chorąży był już zapięty na ostatni guzik. Uderzył mnie spokojnymi oczyma.

— Dziwię się panu, inteligentowi — rzekł z goryczą. — W takim czasie takie głupstwa... Kiedy przykazaniem ku pa się trzymać i nie warcholić! Warchołstwo gubi nas! Przez nie ginimy! — W Katyniu, co? W Katyniu? Szkoła panu chorążemu? — szepkał zjadliwie Stefan, przystając naprzeciw chorążego. — Książeczek się pan chorąży naczał, książeczek, zupy pojadł, Niemczkę pomacał, to do zgody wola... W Katyniu, co?

— Pewnie, że w Katyniu, ty bekarcie! Ty wiesz, co to znaczy? To twoi kocharni rodacy ze wschodu, twoja Polska, gadzino zapłuta! — wybuchnął nagle chorąży i także podszedł do stołu. Wpił się kościstymi palcami w czarny blat, aż mu paznokcie nabiegły krwią.

— A co, nie podoba ci się Polska, prawda, nie podoba? Pan chorąży chciałby innej. Żeby chorągiew nosił w niej, chorągiew? Żeby synekzek mógł nocami chodzić na baranki i dziewczuski sprowadzać? Umiecie wy robić Polskę, aż się rzygać chce!

— Idź do tej swojej, idź! — syknął chorąży przez zęby. Zbielałe wargi poczęły mu drżeć. Spazmatyczne drgawki przebiegały mu przez wytatuowane go na piersi orla. — Nikt cię tu nie trzyma. Szpiegu!

— Nie bój się pan, pójdę — zaśpiewał łagodnie Stefan — mam czas. Tylko jeszcze na was trochę popatrzę, zapamiętam. Pójdę i będę na was czekał, o będe!

Podechorąży Kolka usiadł ciężko na łóżku i zwiesił na dół nogi, zsypując na swój barłóg furę śmieci. Kiwnął do mnie wesoło ręką, kilkakrotnie puknął się w skroń, udając idiotyczne pochylenie głowy. Czarny cygan jęknął boleśnie z nad poduszki w czerwone maki. Uśmiechnąłem się do Kolki i w odpowiedzi za kołysałem głową jakby próbując, czy w niej nie zachłupocze woda.

Idź do tej Polski, do tych Polaków, co Katyni zrobili, idź — krzyczał chorąży, purpurowy z pasji.

— Dobrze zrobili! Szkoda, że raz! Chorąży szarpnął za stół i przewrócił go z trzaskiem i skoczył Stefanowi do gardła.

W oszklonej i umajonej świeżo cięty mi galeziami hali odzawał... dzwonek; tłumek, zebrany przed halą sypnął się do środka, jednocześnie zaś z galowych drzwi komendantury, przy strojonej suto w czerwieni i biel, wyszedł ksiądz w fioletach i otoczony ciasnym kołem czarnych i zielonych księży, po sterował do hali.

— Ej, dajcie no spokój! — wrzasnąłem piskliwie i pobiegłem pomóc Kolce rozbroić walczących. — Nie bić się, sukiny! Arcybiskup idzie na mszę świętą!

II

Arcybiskup odwrócił się od ołtarza. U jego stóp lśniły nad poręczami krzesła siwe głowy oficerów. Między oficerami tkwił w pierwszym rzędzie nieruchomy jak pomnik — Prezes Komitetu. Masywny, byczy łeb, strzyżony krótko, wylazł ze śnieżnego, wykładanego a la Słowaacki kolnierzka i poważnie poda-

wał się ku ołtarzowi. Dalej, przetkany Pułkownikiem, pozołwał na krzesła Aktor. Czuli się nieswojo w ukradzionym, cywilnym garniturze, za dużym i za sztywnym, kręcił się niespokojnie i błyskał pytając okularami w stronę widzów, sznurując usta i ociągając w dół mięsiste policzki. Obok z karminowej sukni rozlewała się na brązowym pluszu fotela Śpiewaczka, o której plotkowano, że w dni głodu przed końcem wojny miało ją całe Dachau. Obecnie (plotkowano dalej) ma ją Aktor. Na łonie jej leżał tekturowy hełm amerykański. First Lieutenant, właściwy komendant obozu, założywszy nogą na nogę, żuł obojętnie gumę i błyszczał obco brylantyna, tępo patrzył w uda Śpiewaczki.

Za krzesłami ciasno zbili się tłum, szczerze oblepił okna hali, przyglądał się nabożnie brzożowemu krzyżowi, wyjętym z papieru orłom, przyszpilonym do wielkich chorągwi narodowych, sztych z prześcieradeł, otwartym drzwom w których kołysał się bluszcz i drżało pogodnie niebo, przyglądał się i mileżał. Obok ławek stał nieruchomo Batalion.

— Jak przeczytasz Sowidzrała, to mi oddaj — zaszeptał Redaktor. — Przyjdździesz do nas na gulasz? Bo my wczynie do teatru idziemy — ułonił na jedną kolano i uderzył się pięścią w piersi.

— Przyjdę — zapewnilem go żartobliwie, osuwając się obok niego na ziemię. Arcybiskup popatrzył na tłum u podnóża ołtarza i nieznacznie skinął głową. Stojący dotąd bezczynnie przy fotelu ksiądz z Dachau poskoczył żywo i włożył mu mitrę na głowę. Arcybiskup niecierpliwym ruchem poprawił ją (widocznie nieważała) i dopiero wtedy pobłogosławił nas bezradnym rozłożeniem rąk. Nad skwapliwie pochyłonymi głowami przepłynął słaby szep modlitwy. Po drugiej stronie betonowego dziedzińca, na wąziutkim skrawku zieleni pod anienicznymi platanami rozkładał się transport, wytrząśnięty z amerykańskich ciężarówek. Zieleniec zatarasowano betami, na których zaraz usiadły karmiące kobyły, rozwrzeszczane czarne bachory, odmlewające od żaru, obojętne na wszystko dziewczęta, przeświecające ciałem przez przeźryste sukienki. Mężczyźni w mokrych od potu koszulach tkwili czujnie przy tłumokach, łazili pod budynkiem, gapili się na hale, a co energiczniej poszli oglądać izby, w których miał mieszkać transport.

— Aha, poeta. Pan nie na mszy? Uciekli pan od narodowego i boskiego misterium? Nie buduje pan fundamentu drzewca sztandaru narodowego, złożonego z ducha poległych i innych?

Na kupie oplecionych sznurami waliszek, poduszek i kółder, siedziała dziewczyna o niezwykle żywych oczach. Za miast krzyżyka dyndała się jej na szyi dziwaczna, podłużna kapsułka, podobna do malej świstawki. Pod batystową spódniczką rysowały się mocne, jedrne uda. Śliczne nogi miękko spływały po pierzynie. Pod nimi, okraczwszy wysokimi cholewami walisze, siedział władczy Profesor i ironicznie uśmiechał się do mnie zza okularów jak zza okupu. Musiał dojrzeć, że mi szczęki zadrgały z pożądania.

Wytrzymałem biologicznie. Teraz kładę podwaliny pod drogę do Polski. Z letargu duchowego wchodzi w żywe ciało narodu — odrzekłem wykretnie. Roześmialiśmy się obaj. Cytowaliśmy co celniejsze ustępy z powielaczowego pornograficzno-patriotycznego piśmka o bożowego.

— Ta pani — Profesor uczynił gest w górę, dotykając niechcący nóg dziewczyny — właśnie uciekla od żywego ciała narodu. Cały transport przyjechał z Pilzna. Przeszli z Polski przez zieloną granicę.

Podniosłem domyślnie brwi. Dziewczyna błysnęła w odpowiedzi zębami. Poprawiła się na pierzynie. Zbyt pełne piersi zakolysały się pod bluzką.

Z band leśnych? — domyśliłem się. Chodząc na mięso baranie po innych stubach, słuchałem radia z Warszawy. Między jedną a drugą skrzynką poszukiwania rodzin narzekano wciąż na bandy leśne.

— Wprost przeciwnie. Z naszych. Żydówka. Uciekli. Jak krowy, które szukają lepszego pastwiska. Wleźli do nas

jak w zakazane zboże. A tu ugor, panienko! — przechylił się do tyłu, uderzył ją w kolano i zupełnie jawnie zjechał dłonią po tydzie dziewczyny.

Podąłem dziewczynie rękę. Przymrużyła rzęsy, może od słońca, które na chwilę zapaliło się w jej oczach.

— Niech pani nie słucha. To gorycz krowy, która nie znalazła lepszego pastwiska, choć zlażyła pół świata.

— Jesteśmy z jednego domu — rzekła dziewczyna — z ghett — uśmiechnęła się, jakby przepraszając i — znów spotkaliśmy się w jednym domu — ogarnęła dłonią kamienie koszar — w domu esesmańskim.

Jakby wojny nie było — dodał zgryźliwie Profesor i rad z siebie, roześmiał się hulaśliwie. Potarli zmarszczone dłonie i klepnęli się po skórzanych, bawarskich spodniach, poplamionych jak fartuch rzeźnika. — Niech par parmięta o krowach, niedoszły poeto — do rzucił i zapatrzył się w swoje owłosione kolano.

— Żeby szukać lepszego pastwiska? — zapytała z nad pierzyn dziewczyna Czubkiem palców musnęła włosy męża, czynny. Ścisnąłem ironicznie wargi, łapiąc jej ukośne spojrzenie.

— Nie — odrzekł niechętnie Profesor. — Żeby mieć swoje własne pastwisko. I nie być ambasadorem swego stada na cudzych łąkach.

— A gdzie jest nasza łąka?

— W Palestynie. W więzieniu Akko pod Jerozolimą. Siedziałem tam pół roku za nielegalną emigrację. W czasie wojny, ha, ha, ha, — parsknął grzmiejącym śmiechem, wstał i bez słowa poszedł przez betonowy dziedzińiec ku hali. Wylewali się z niej ludzie po skończonym nabożeństwie, napelniając z szumem dziedzińiec jak miszkę. Rój promienności, oblepiający z brzęczeniem Arcybiskupa, popłynął w stronę komendantury i wsiadł w parterowe drzwi mieszkania Pierwszego Porucznika.

Oto żywe, ascetyczne ciało narodu. Polska jęmiola na niemieckim dębie. — Pogardliwie machnąłem ręką w stronę placu. — A jednak — siła. Bo my walczymy o idee! A co tam, w tej waszej — Polsce!

Nie odchodziłem, szorstkie sukienne spodnie natarczywie laskotały mi uda. Dziewczyna zsunęła się miękko z pierzyny i wylądowała na ziemi, ocierając się jak kot ciałem o moje ciało. Zbyt wydatny biust zakolysał się znowu pod bluzką.

— Myśli pan, że jestem biednym pasażerem, co wysiadł z tramwaju, w którym połowa siedzi, a druga połowa trzęsie się? Ze to z powodu korony orla? Zna pan przecież polskie dowcipy? O-tóż weale nie! — krzyknęła z pasją — weale nie dlatego!

Chwyciła energicznie za waliszkę. Gdy schyliła się, uda błysnęły spod różowej sukienki. Transport w gorączkowym pośpiechu zaczął wnosić pakunki do koszar. Złapałem dwa toboły i bijąc po meksku butami o beton, podygowałem w górę schodów. Cały czas patrzyłem w kark dziewczyny, która, objęta barami, człapała przede mną. Jakies jej ciotki czy opiekunki krzyczały na nią piskliwie, chwytając rozdygotany rękoma za bety i pokazywały drogę.

Zwaliliśmy ciężary w sali na parterze i wybiegliśmy znowu po waliszy, pokrzykując wesoło i klnąc pod nosem. W przejściu otarłem się znowu o dziewczynę i pochwyliłem jej rozbawione spojrzenie.

W sali, która miała być zajęta przez parę godzin, mężczyźni jeli się do napół wywalonych drzwi, tarasując drogę, do wybitego okna i pokiereszowanych, śpietrzonych przycz. W ciemnej jak piwnica izbie wzbili się aż pod sufit flusty kurz i dusił w gardle. Zbierało się śmiecie i wyrzucało je przez wybite okno korytarza wprost na głowy zagospodarowanych na tyłach koszar ludzi, którzy nie dbając ani o Grunwald, ani o świeży lipcowy dzień, ani o kary, grząc według regulaminu, siedzieli ku pami przy niezliczonych ogniskach, zbudowanych z paru sutych szczyp, odłupanych z przycz i stołów, pitrasili w rondlach, menażkach, okopconych paczkach po konserwach i w zdobycznych aluminowych garnkach wszelkiego rodzaju jedzenie: mięso baranie, złupione stado

w noc przedgrunwaldową, kasze, zupy, kompoty piekły na zardzewiałych, rozpalonych blatach plakci kartoflane i mieszały drewnianymi łopatkami w kipiących wszystkich kolorami miksturach, dmuchając pracowicie w ogień. Dym, jak gesta, brudna śmietana, gotująca się od dołu, bulgotał, wzdymał się, podnosił się leniwie z nad ziemi, wylewał się przez szczybaty mur na pobliską łąkę, zacierał kontury dalekiego, płaskiego lasu, leżącego na horyzoncie i owijał jak kremem kopuliste płatany przy autostradzie. Zapach gotującej się surowizny, zmieszanej z dymem, ostro grył w nozdrza, aż kręciło w żołądku. Od spodu, spod dymu, jak z dna garnka, dobiegał bulgot okrzyków i przekleństw głodnych, gotujących sobie jać do ludzi. Oderwałem dziewczynę od okna i zaciągnąłem do białej, wykładanej kaflami umywalni, która zapaskudzona resztkami jedzenia i łajnem, śmierdziała jak latryna.

— To wy tak życie — rzekła pogardliwie żydówka, podstawiając ręce pod strumień wody. — Z przodu Grunwald, a z tyłu pichenie. Jakiś dnia tutaj nie wytrzymała. Ach, nie wytrzymała!

— Przyzwyczailaby się pani — odparłem urażony. — To jest jeszcze kwadrant. Ni to kaet ni to wolność. Ale będzie lepiej, wolniej! Jesteśmy wielką siłą! Moralną! — unosiłem się gwałtownie. Ale — zmitygowałem się — ludziom chce się jeść. Człowiek musi jeść, musi mieć kobiety. Tyle lat ludzie byli głodni! Tyle lat tęsknili do tej chwili, kiedy najedzą się chleba, kiedy będą mieć pierwszą kobietę! To są zasadnicze sprawy. Na to i Grunwald nie pomoże.

Strzasnęła z rąk natrętnie krople. Wytarła ręce o kraj spodniczek. Błysnęła udami. Wyszliśmy na korytarz. Automatyczne drzwi zatrzasnęły się cicho za nami. Nie zepsuło ich do tej pory.

— I po tylu latach obozu nie zapragnął pan wyjść poza te mury? — Przyglądała mi się badawczo jak osobliwej odmianie psa albo kota. — Nie mówię o chlebie ani — w głosie jej przewinał się leciutki akcent ironii — ani o kobiecie. Ale pójdę po prostu — do lasu?

— Balem się — wyznałem szczerze — bo pilnują. Przeżył tyle lat i zginąć po wojnie, nie, to zbyt groteskowe. Człowiek ceni siebie w dwójnasób.

— Bał się pan! — klasnęła w dłonie — ach, bał się pan!

— A panią co ciągnęło na — na cudze łąki, jak nie strach? Uciekła pani od tej — Ojczyzny? Miraż Zachodu? Oto i Zachód! — Pokazałem ręką rozbite okno, w którym klebił się dym. — Wszyscy boimy się, odkąd nastał pokój.

Dziewczyna roześmiała się drwiąco. Chodziliśmy po korytarzu, wzdłuż okien, wychodzących na las.

— Wcale nie strach! Uciekłam od miłości. Śmieszne, ach, jakie śmieszne!

Podciągnąłem opadające spodnie i skrzyżowałem gołe ramiona na piersiach. Wstydziłem się pryszczy, wylazłych spod koszulki gimnastycznej, ale do tej pory nie zdołałem ukraść koszuli z koinierzykiem.

— Przez sześć lat byłem katoliczką. Polką, nauczyłam się przykazywać takich i owakich, chodziłam regularnie na msze i do spowiedzi. Matka, zanim zginęła w Treblince, dała mi książeczkę do nabożeństwa. Jeszcze dziś mam dedykację w oczach: „Kochanej córeczko, Janine, w Dniu Jej Pierwszej Komunii, Mamunia”. Nazywałem się inaczej. Nie jestem przecie podobna do Żydówki — powiedziała z pewną dumą, szukając oczyma potwierdzenia w moich oczach.

W istocie, nie wyglądała na Żydówkę. Miała jasne, puszyste włosy i szeroką, nieco płaską twarz. Tylko ciemne, głębokie oczy opalizowały niespokojnie.

— Przecież pani jest jak aryjka — rzekłem pochwalnie. Czy jej zaśnily z wdzięcznością. — To strach. A gdzie miłość?

— Jest miłość, bo się zakochałam. W katoliku. Był komunistą i nie lubił Żydów. W Polsce takich dużo! — poskarżyła się naiwnie. — Bardzo mnie kochał. Nie mogłam mu kłamać. Prawda, że nie mogłam?

Popatrzyłem jej przeciągle w oczy z dobrze udanym milożeniem współczucia. Tadeusz Borowski. (C. d. n.)

MARIUSZ MARGAL

Na książkę, która pod tytułem „Le Fil de l'épée” ukazała się w 1928 r. na półkach księgarskich Francji, nie zwrócono nadmiernej uwagi. Na prawdę — nie interesowało nikogo jakie są zapatrywania nieznanego bliżej oficera na rolę wielkiego człowieka w nowożytnym społeczeństwie. Wypowiedziane w mentorskim tonie starożytnych mów zostają wielokrotnie zacytowane dopiero po bezmała ćwierćwieczu, kiedy Charles de Gaulle jako generał wyswobodziciel stanie się czołową postacią Francji powojennej. Dziwne bowiem i ciekawe sentencje wyszły spod pióra de Gaulle'a-pułkownika: „Wielkim ludziom — pisał — nie udało się dojść do celu, gdyby słuchali rad przyziemnej ostrożności i sugestii małodusznej skromności... Ci, którzy dokonali czegokolwiek wielkiego, musieli przekraczać granice pozornej i fałszywej dyscypliny... Maż czynu nie da się pojąć bez silnej przemieszki egoizmu, dumy, twardości i podstępów... Siła jest prawem dla ludów, rządzi nimi i decyduje o ich losie...”. Poczem, do tych to myśli naginając całą swoją osobowość, przygotowywał się do spełnienia roli „wielkiego człowieka”, gdy nadejdzie ku temu odpowiedni moment.

Okazja zjawiała się w czerwcu 1940 roku. Brytyjskie oddziały w oblężeniu kleski Francji rozpoczęły masowy odwrót przez kanał i generał de Gaulle „przekroczył granice pozornej i fałszywej dyscypliny: zdezerterował z pola walki, by udać się przez Dunkierkę do Londynu. Nie reprezentował nikogo, gdy własnym imieniem podpisywał wydany dnia 18.VI.1940 rozkaz do Francu-

zów, wzywając ich do kontynuowania dalszej walki przeciw Niemcom pod swoim dowództwem. Nie reprezentował nikogo i nie posiadał niczyjego zaufania. Bo przecież pamiętano o jego sympatiach do „Action Française” i pamiętano o wstępie, którym marszałek zdradca Petain poprzedził jedną z jego książek, traktujących o armii, pisząc, że: „przyjdzie dzień, gdy Francja zwróci się do de Gaulle'a z prośbą, by ją ratował”.

Znaleźli się też tacy, którzy przypomnieli niejedną pełną pogardy dla mas cytaty z „Le Fil de l'épée”. Nic więc dziwnego, że nie wierzono, że zwieszono podstęp i że dużo miało upłynąć czasu, aby cała Francja skupiła się pod sztandarem generała. — Ale przecież zaufał mu rząd Wielkiej Brytanii, we Francji rósł terror, a de Gaulle był jedynym Francuzem, który znalazł się w krytycznej chwili na wyspach brytyjskich, który w imieniu alliantów przemawiał do narodu francuskiego i który na serio rozpoczął organizowanie armii francuskiej przeciwko Niemcom. I wreszcie: nie tworzył rządu i nie bawił się w dyplomację — rozpoczął walkę. Więc stopniowo przez Hiszpanię i Portugalię, przez Hiszpanię i Gibraltar, przez La Manche — wszystkimi dostępnymi drogami zaczęli przybywać do Londynu uciekinierzy z Francji, by formować Wolne Wojska Francuskie (Forces Françaises Libres), które miały przynieść republice wyzwolenie. We Francji natomiast załnicowany przez komunistów, zaczął wzrastać i wzmacniać się Ruch Oporu. Co prawda przez dłuższy jeszcze czas właśnie komuniści nie otrzymywali brytyjskich zrzutów ani pomocy ma-

terialnej, ale w końcu cała Ręistance francuska zjednoczyła się pod egidą de Gaulle'a wyrazem czego była wspólna Narodowa Rada Ruchu Oporu.

Entuzjazm mas szedł wówczas w dwóch kierunkach, zresztą zupełnie równoległe: z jednej strony de Gaulle, symbol Francji wolnej, z drugiej Partia Komunistyczna, symbol Ruchu Oporu. W pierwszych powojennych wyborach, które miały ustalić prowizoryczny rząd, komuniści otrzymali największą ilość głosów i de Gaulle został premierem.

De Gaulle pisał: „Preziza nie da się osiągnąć bez umiejętności zachowania tajemnicy, bo niebardzo cześć się to, co się zna zbyt dobrze. Trzeba więc, aby w swoich planach, w sposobie zachowania się, zawrzeć taki element, którego inni nie będą mogli pojąć, który ich zaintryguje... Wiadomo, jak bardzo Napoleon dbał o to, by pokazać się zawsze w takich okolicznościach, aby umysły ludzkie zostały tym zafrapowane”. Ścisłe się trzymał tych zasad szef rządu. Zawsze milczący, zawsze tajemniczy, niezwiązany z żadną partią, wydawało się, że posiedzie pełnię władzy we Francji. Planowo dążył do tego i z premedytacją. Wykorzystując swoją „nadpartyjność” grał wobec skłóconych partii rolę arbitra. Tak się więc jakoś działo, że wszystkie pozytywne posunięcia rządowe szły na rachunek generała — wszystko zaś, co złe i cały panuacy we Francji bałagan, szedł na karb partyjnej nierzeczy. Opuszczając rząd w chwili zamieszania wewnętrznego i chaosu, liczył de Gaulle, że go naród zawezwie z powrotem, by powtórnie wyratował Francję. Przeliczył się. Partie lewicowe szanowały autorytet szefa rządu, nawet jeśli im przeszkadzał w działaniu — po dymisji de Gaulle'a odsłoniła się kurtyna i ukazała zdumionym Francuzom niesłychanie kompromitujące de Gaulle'a fakty. Ale że ciałe jeszcze słowo generalskie miało wpływ największy, więc gdy doszło do pierwszego referendum w sprawie konstytucji, naród wybrał drogę wskazaną przez de Gaulle'a i jego „partię de la fidelité” — MRP. Konstytucja została odznaczona, a w nowej konstytucji MRP silniejszą partią stała się MRP.

Fakty kompromitujące de Gaulle'a nie były pojedyncze i odosobnione. Reakcja francuska, która nie przespała wojny, posługując się imieniem de Gaulle'a działała nawet w Londynie. Przedstawienie opinii publicznej całego szeregu wiadomości, wywołowało ogólną konsternację, a ukazanie się książki de Kerilla „De Gaulle dyktator” stało się sensacją dnia. Okazało się, że w najbliższym otoczeniu de Gaulle'a znajdowali się członkowie nielegalnej organizacji faszystowskiej, która pod nazwą „Cagoul” obejmowała całą Francję a spełnić w niej miała rolę „Żelaznej Gwardii”. Codziennie lub msłeyowskich „Czarnych koszul”. Okazało się, że właśnie cagoulardom z plk. de Vavrin alias Passy, powierzył de Gaulle zorganizowanie własnej policji i wywiadu na terenie brytyjskim. Okazało się, że ten to właśnie plk. Passy korzystając z olbrzymich funduszy de Gaulle'a, zorganizował nie tylko dokładnie kartoteki wszystkich żołnierzy francuskich sił zbrojnych z takimi rubrykami, jak „komunista”, „socialista”, „Żyd”, „mason” etc; ale także sam plk. Passy otworzył szereg więzień, w których byli nawet torturowani uciekinierzy z francuskiego Ruchu Oporu. Okazało się też, że jednemu z nich, któremu szczęśliwie udało się zbiec z więzienia, gdy wytoczył przed sądem brytyjskim proces przeciwko kilku oficerom z armii de Gaulle'a za bicie i torturowanie, gen. de Gaulle, zamknął usta sumą 50.000 funtów szterlingów. Wszystkie te fakty, opublikowane na podstawie materiałów źródłowych z nazwskami i datami, wstąpiły do opinii publicznej. Okazało się wreszcie, że za pomocą plk. Passy de Gaulle chciał się pozbyć swego jedynego zresztą „konkurenta” wyższego stopniem — admirała Musellera, któremu, choć się pierwsi zjawili na wezwanie generała, podrzucono fałszywe dokumenty, mające świadczyć o zdradzie głównej z jego strony.

Reakcja, skoro nie przespała wojny, nie miała bynajmniej zamiaru zaprzestać działania we Francji wyzwolonej. Co prawda na skutek bezwzględnie antyfaszystowskiego nastawienia mas nie mogła w pierwszym okresie powstać żadna partia prawicowa, a wielu kolaborantów i wichystów znikło po prostu (czasowo) z oczu jednak stopniowo zaczęło słabnąć nasilenie czystki, wokół MRP, zaczęły się grupować elementy prawicowe, które nie mogły działać jeszcze pod własnym imieniem. I rzeczywiście: MRP stała się tą partią, która hamowała upaństwowienie

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

Spowiedź dziecięcia wieku wojny

(Fragmenty)

1.
Już tych piosenek nie policzyć,
Ani tych płatków rozmowy...

Od Mokotowa się zaczął
i hel! przez Plusa
na Ceglana.
Oto przedemną
karta pusta —
dzielo
nienapisane.

Bo gdy zaczęło się — to dalej!
W rynsztokach ulic, w drzewach alej,
zagubiło się, utopilo się,
— nienapisane.

A teraz szkoda — kroków tyle
i sprawa
i Warszawa.
Postaw choć ćwiartkę — bimbrem zaplę
i trzeba nazwać.

2.
A tutaj płynie Wisła
i w drzewach wiatr —
— to zwolnij kroku, przystań.
Zielony dar.

JERZY E. MILLER

Pieśni inwalidzkie

Dzisiaj powracam pieśny —
nieprawdę wieści kółkujące!
Powróconym brakuje oddechu,
jakby ich pocisk przesył.

Wzrok ogarnia kurhany —
ślady wroga podstępnej kuli,
stok runy zsypany
do mogiły nieczujnej.

Powróconym wracają obrazy
jak pociski śmiercią koliste,
gdy umarłych twarze
palono jak listy.

Nienawistne wieści kółkujące
inwalidzkiej pieśni tony.
kółkujące jak kule
odprysnięte od domu.

W szczepie popiołu
nie odnajdę człowieka.
Łykam chwile jak piołun
i łzy gorzkie — powieką.

WIKTOR WOROSZYLSKI
Warszawie

Przerzucam wiersz mój, jak ponton,
Do Warszawy, przez rzekę i front.

Przewedrował mój każdy dystych
Po tym żutku, co jeszcze nie wystygł.

Rymy w błocie nurzałem i we krwi,
Układając warszawskie requiem.

Później ogień bez żalu strawił
Mój niesłuszny wiersz o Warszawie.

Dzisiaj wiersz przerzucam po prostu
Nie jak ponton przez Wisłę, lecz most.

Wiem: te mury, tylekroć przebite,
Odbuduje młody architekt.

I nakreśli warszawską przyszłość,
Jak ja krąg nakreślał swym myślom.

Awangarda konstrukcji szwielistych
Do Warszawy posyłam ten dystych.

ANNA POGONOWSKA

Czas

Zmiany mego ciała, przesunięcia gwiazd,
Przechody liści, cisze zakłócone w blask
Wawozem ścinającym wiatr
Tłoczące.

Trudno uciec, jakże wyrósł nad mur,
Który wznosi każda chwila, jej sól
Białym złomem gniecie przelot chmur.
— Nie oddychać wśród zakwitłych łąk,
Zwężać ślany skal — sztywny gest rąk
Składający na piersi życie.

TADEUSZ SOKÓŁ

Ballada pastusza

Nie strasz mnie siostró
krzykiem upiórów
po ruinach klasztoru błędzących,
ja wiem,
że to puszczyki
wieczorna pora przeklinają dzień,
że nieoperze
biczują słońca pożar:
ja i tak moich krów
za dnia do domu nie przygnam.

Nie strasz mnie siostró
duchem przeora,
którego habit w gwiazd mleczny roztop
ponad lochami widziałas,
byłem tam wczoraj
sam i
czerepy czaszek zbierałem białe:
ja i tak moich krów
za dnia do domu nie przygnam.

Nie mów siostró,
że straszny po noc,
gruz jest pełen nieoperzy,
lochy sów pełne oczu...
ja i tak moich krów
przed północą do domu nie przygnam.

nie wielkiego przemysłu i trustów i wykonanie czystki. Ciesząc się poparciem de Gaulle'a mógł taki minister sprawiedliwości Teitgen, członek MRP, zwolnić z więzienia generała Weyganda, ulaskawić skazanego na śmierć wchystowskiego prefekta Angeli, który wydał Niemcom dziesiątki tysięcy Żydów, komunistów i partyzantów, uwolnić gen. Dentza, który oddał Niemcom Paryż bez strzału, a potem zorganizował akcję w Syrii na rzecz Petain'a, natomiast „zapomniano” zwolnić z więzień Algieru skazanych przez Niemców lewicowców. Wreszcie cały aparat sądowiczy, administracyjny i policyjny nie został wcale zmieniony, nie więc dziwnego, że lewica nie była w stanie przeprowadzić swoich zamierzeń. Korpus oficerski, który powrócił z de Gaulle'm, lub który, jeśli okupację spędził we Francji, wyjął swe mundury z „naftaliny”, jak tu mówiono, rozpoczął atak na młodych oficerów wyrosłych podczas walki partyzanckiej, doprowadzając do szeregu degradacji, a młodego, lewicowego generała Leclerca niebawem popularnego przywódcę Wewnętrznych Wojsk Francuskich (Forces Françaises Intérieures) wysłano do Indochin, by tam wyładował swe zapędy wolnościowe i społeczne przeciwko Anamitom. Rozpoczął się atak na szkoły świeckie (laickie) i nie dopuszczono do conięcia zasłok rządowych, jakie od chwili zarządzenia Petain'a otrzymywały szkoły klerykalne. Symptomem stała się odpowiednia dla ukazania się zorganizowanych faszystów na widowni. Do wyborów do drugiej konstituanty stanęła nowa partia, PRL, na której czele widniały nazwiska kolaborantów i petainowców. O czystce już się nie mówiło.

A de Gaulle? Kiedy powiedział „nie” pierwszej konstytucji miał za sobą większość narodu, oszołomionego jeszcze blaskiem jego sławy. Kiedy powiedział „nie” po raz wtóry uczynił błąd. Francuzi przejęli przyczynę jego chęci utrzymania stanu prowizorycznego i chaosu. Francuzi poznali już stosunek generała do prawicy i nie chcieli, choć tego chciał de Gaulle, by na czele państwa stał człowiek, który przed laty pisał: „wszystko, co dawniej ndzielały masy wysoko urodzonym, dają dziś tylko tym, którzy potrafili narzucić się władzy”. Francuzi nie chcieli, by rządził nimi człowiek, który oświadczył, że Francja powinna się przeciwstawić „niebezpiecznemu światu, gdzie ambulatoryjne ugrupowania Słowian utworzone pod jego potęgą, stały się automatycznie przeciwnikiem Ameryce, która stopniowo odkrywa perspektywy swej potęgi militarnej”. Francuzi nie chcieli człowieka, który był zwolennikiem bloków zachodnich i którego każde posunięcie dyktowane było głęboką wiarą i niezachwianym przekonaniem w trzecią wojnę, którą Francja musi wygrać na przeciw „ani prawa ani lewa, ale skonsolidowana, zjednoczona, bez partii, autorytatywna”. Okazało się, że de Gaulle przeliczył się, gdy pisał o „wielkim człowieku”, siebie przygotował do tej roli i gdy twierdził, że 40 proc. Francuzów pójdzie za nim, Francuzi odsunęli się od niego, gdy po raz wtóry powiedział: „nie” postępowi.

Czas, kiedy dwie tyczki obnoszone z entuzjazmem przez studentów paryską na bulwarze Saint Germain były widomym znakiem jedności narodu, bo tyczka znaczy „la gaule”, ten czas minął już bezpowrotnie. Dziś tyczka przestała być symbolem, a Colombes—des—deux—Eglises, gdzie spędza swe prywatne życie generał Charles de Gaulle na pewno nie stanie się francuskim Sulejówkiem. Wiedną laury generalskie, nawet zasłużone. (C. d. n.)

TADEUSZ BOROWSKI

W oczach i uszach Courts-Mahlerowej

...poeta

w ręce wzięwszy tabliczkę szuka takich rzeczy, co ich nie ma na świecie, a przecież znajduje i prawdziwie równym czyni — to, co wręcz nakłamiem.

Plautus; Pseudolus

Zacytowałem Plauta, bo chcę pisać o Dobraczyńskim. Jan Dobraczyński, znany i ceniony publicysta obozu radykalno-katolickiego (przed wojną: „Prosta z mostu”, podczas wojny: prasa „Konfederacji Narodu”, po wojnie: „Dziś i Jutro”), jest autorem jedynej do tej pory powieści o powstaniu warszawskim, w której, zrezygnowawszy z wszelkich elementów kronikarskich i pamiętnikarskich, usiłował — jak sam pisze — powiedzieć prawdę o ludziach, „którzy żyli i jeżeli nie na barykadach Warszawy, to gdzie indziej doświadczali gorzkiej prawdy życia” (podkreślenie moje). Poświęcił ją „Warszawie i jej obrońcom” (str. 7, Przedmowa), w istocie jednak, przemierzając podniosłe elementy uczuciowe i bardzo oryginalne poglądy etyczne z niewybredną akcją, zamiast powieści o gorzkiej prawdzie powstania, stworzył utwór, w którym motywy, zaczerpnięte z Mostowicza i Courts-Mahlerowej przesiąknięte są atmosferą, znaną nam z dziesiątków mniej lub bardziej literackich reportaży z tragicznych wypadków warszawskich. Taki osobliwy splot aż się prosi o rozsąplanie.

Powstanie trwa. Magdalena ma czternaścieletniego syna, Wojtka, którego chce uchronić od pójścia do wojska. Jednakże mieszkanie Magdaleny staje się redutą. Dowódcą kompanii, która obsadza stanowisko, jest Roman, wojenny kochanek Magdaleny, dowódca zaś oddziału, broniącego m. in. przez jego żołnierzy, jest Stefan, kpt. „Krak”, mąż Magdaleny, przed niejakim czasem zrzucił z angielskiego samolotu. Roman, realista krajowy, trzeźwo oceniający szanse walki, wycofał się z barykady, bez której nie można utrzymać obecnej pozycji, rozumie swój błąd, jest jednak zbyt zmęczony, żeby zarządzić kontratak. Wyreza go sam „Krak”, który od razu zorientował się w sytuacji (mianowicie w trójkacie małżeńskim), ale jego brawurowy, „romantyczny” atak zakończył się, znaczna część oddziału ginie, jedna z sanitariuszek łapia Niemcy i... (autor kończy rozdział), reszta dzieci, bo z nich kompania się składa, wycofuje się na stare stanowisko, wystrzelawszy wszystką amunicję. „Krak” na propozycję Romana zabiera swego syna do komendy po naboje, sam ginie „w kilka godzin potem na Miodowej”, syn zaś, rozwalony granatami paru Niemców, którzy omal że nie zdobyli barykady, dostaje w nagrodę pistolet maszynowy i zaczyna — ku najwyższej rozpaczce matki — wojować. Niestety, pozycję utrzymać się nie da. Obrońcy, wśród nich oczywiście Wojtek i Roman, zabierając złej rannych, odchodzą kanałami, Magdalena zaś i ks. Marek (kapelan kompanii) zostają z rannymi, zakonnik, ponieważ narzeczcie nawiązał kontakt z pokoleniem młodych, którego sympatii dotąd nie umiał zdobyć, Magdalena przez wzgląd na pamięć męża, który „gdyby żył, nie byłby zeszedł ze stanowiska”. Zresztą:

„Magdalena podniosła głowę i patrzyła chwilę na rozbity klatkę schodową, pełną dymu, na rozetowaną ścianę, szczałki leżących przedmiotów. Westchnęła. — Rozwalony dom... mój dom — rozwalony...”

Na to zaś zakonnik:

— „Pani się myli — rzekł. — Pani się myli. To tylko złudzenie. Odbudowała go pani”. (str. 256).

Oprócz tak spreparowanego wątku głównego, wpłótł autor w swoją powieść kilka motywów podrzędnych, które bądź stanowią odpowiednik dla wątku zasadniczego (drugi trójkąt „szlachetny” rozdz. II, i str. 242), bądź są komentarzem etycznym do akcji (rozmyślanie ks. Marka o miłości roz. III, o sensie powstania roz. X, spowiedź Magdaleny 142—146), wyjaśniają jej tło i prehistorię (rozmowy Romana z „Krakiem”), bądź wreszcie charakteryzują środowisko (życie kompanii, zachowywanie się dzieci w ogniu etc.) i poszczególne postacie literackie (Magdalena, Wojtek, ks. Marek, Stefan — najpełniejsze i najbardziej udane, Władek, Hanka — sentymentalny kicz). Nawiasem dodam, że Niemcy obecni są w powieści o tyle tylko, żeby miał kto zabijać jej bohaterów i w ten sposób posuwać akcję naprzód, jedyne zaś Niemce, jeniec, pokazany jest

*) Jan Dobraczyński: W rozwalonym domu. (Powieść) Str. 256. Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, (Warszawa), 1946.

w niedoleżnej grotesce (kto nie wierzy, niech sprawdzi: str. 204—212).

Wszystkie te motywy przemieszał autor według zużytej recepty: zaczyna od charakterystyki postaci głównej (Magdaleny), ale najpierw wprowadza wątek uboczny (miłość Władka i Hanki), a dopiero potem główny (trójkąt Roman—Magdalena—„Krak”), potrafi zetknąć bohaterów w efektywnych sytuacjach (rozmowa „Kraka” z Romanem), umie przetrwać opowiadanie wstawką liryczną lub sceną o odmiennym nastroju, a nawet dać rozdziałom dramatyczne zakończenia (VII, ostatni). Nietrudno dostrzec, że w najlepszym razie środki artystycznego wyrazu czerpie Dobraczyński z — Kraszewskiego. Nie jest to jednak zarzut, — to komplement.

Streściłem nieco dokładniej powieść Dobraczyńskiego, aby wskazać na jej bezpretensjonalność artystyczną, zwrócić uwagę na jej ambicje ideowe. Nie warto było o powieści tej mówić, gdyby nie pretendowała ona do miana reprezentatywnej, katolickiej wersji artystycznej powstania, gdyby nie charakterystyczne jej przemienienia, nie-domówienia i komentarze.

Dla Dobraczyńskiego powstanie jest krucjatą dziecięcą. W przedmowie apeluje do historii, aby pamiętała, że Stare Miasto od pierwszego do ostatniego było bronię przez dzieci, których padło tam siedem tysięcy. Bohaterowie powieści („Krak”, Roman, Marek), bardzo nieinteligentnie dyskutują o sensie walki. „Rozumiem zachwałność i odwagę. Ale nie pojmuję szaleństwa” — powiada jeden. „Jedynie szaleństwo musi być naszą podstawą” — powiada drugi. Książd Marek, kiedy opadły go wątpliwości, „czuł, że mu braknie kogoś, kto by nań ostro, z góry krzyk-

nał: „To nie! Tak właśnie być musi!”

Ostatecznie, nikt nie wymaga od oficerów (zwłaszcza powieściowych) błyskotliwej inteligencji. Wymaga się jej jednak od autora. Synteza Dobraczyńskiego? Proszę, oto ona: „Nie ma rady; przemoc wyzwala odpór, gwałt odciska się gwałtem. Nie ma rady; ci smarkacze na tę właśnie wyprawę czekali. Karabin był załadowany i wystrzelić musiał. Ktoś nacisnął spust — za wcześnie czy za późno — i strzał padł. Lawina poleciała w dół. Nie ma rady; nie mogło być już pokoju. Jest wojna!” (str. 114).

Najwyższym sensem powstania jest dla Dobraczyńskiego poświęcenie się Magdaleny, odbudowa moralna jej rozwalonego domu. Jest to głupstwo — wierutne, wyobraźmy sobie bezpośredni dalszy ciąg powieści: Magdalena zostaje przy rannych (patrz cytaty powyżej), Niemcy nadchodzą i dajmy na to — gwałcą ją tak samo jak nieszczęsną sanitariuszkę Lusie. Czy i wtedy autor będzie zdania, że Magdalena odbudowała dom?

Zwracam uwagę na zabawną książkę Dobraczyńskiego. Mniej zabawne jest, że reprezentuje ona pospolity pogląd na sens powstania warszawskiego, że wśród czytelników, karmiących się lekturą Courts-Mahlerowej, spotkała się ona z gorącym przyjęciem, jako wyraz ich pojęć artystycznych i ideowych.

Osobiście zaś przyznam się, że po „W rozwalonym domu” z pewnym napięciem oczekuję zapowiedzianych „Najczłędów”. Ponieważ zacząłem Plautem, zacytuję tu Kłusa:

„nim krowa nasze powiększy wesele, tymczasem dobre i cięte”.

Książki mojego pokolenia

Te dwa zbiory nowel, jakie stanowią „Ślad” i „Śmiertelni bohaterowie” *) posiadają dla mnie specjalne znaczenie. Są to utwory pisarzy najmłodszych, reprezentujące przez to choćby częściowo wysiłek twórczy tego pokolenia, do którego sam się zaliczam. Związane są one ze sobą nie tylko wspólną polityką, ale także bardzo do siebie podobną postawą wobec świata. Przyznam się, że uważam je za jeszcze jeden objaw wskazujący na zjawisko, które w naszej literaturze powojennej trzeba stwierdzić. Jest nim renesans, lachon le mot kadenzim.

Juliusz Bandrowski ten spośród prozaików dwudziestolecia, o którym po wojnie mówi się i pisze się bodajże najmniej pojawia się teraz jako magnus parens nie jednej książki, choć wobec milczenia, jakie go otacza, można by sądzić, iż on przynajmniej został całkowicie przezwyciężony. A jednak nawet ci pisarze, którzy ideologicznie sprzeciwiają się teoriiom wyznawanym przez niego, teoriom dosyć ściśle związanym z ruchami totalistycznymi, wykazują poważne powinowactwo ze stylem autora „Czarnych skrzydeł”. Tak choćby dla przykładu pokrewieństwo zachodzące pomiędzy „Murami Jerycha” a „Mateuszem Bigdą” nie ogranicza się jedynie do łączności tematycznej (oba utwory są powieściami politycznymi). Przeciwnie, związki są tu dużo ściślejsze i nawet łatwe do wykazania.

W sferze wpływów Kadena znajdują się niewątpliwie i Zaleski i Bratny. Ich dotychczasowa twórczość (nie mówię tu o poezji Bratnego) stanowi kontynuację tego nieco przekształconego w porównaniu z niemiec-kim ekspresjonizmem, którego heroldem był u nas Bandrowski a jakimi w złagodzonej co prawda formie holdowali Boguszewska i Kornacki. Cechą znanymi pisarzy ulegających temu kierunkowi literackiemu jest posługiwanie się mową pozornie zależną, jaką stosują z upodobaniem młodzi prozaicy nowopowstałej grupy „Pokolenia”. Na skutek tego utwory ich tracą nawet pozor pseudorealizmu, który wywoływać mogła reportażowość od jakiej się nie uchronili. Duże znaczenie posiada tu wycofanie się autora, który jest nieobecny schodząc do roli rejestratora poszczególnych faktów, by nawet i na tej pozycji pozostać zachwianym. O ile w powieściach klasyków realizmu pisarz jest wszechwiedzący, o tyle wiedza jego tutaj zostaje sprowadzona do minimum. Dawid Hopenstand w swoim studium „O mowie pozornej zależnej w kontekście „Czarnych skrzydeł” wskazując na tę właściwość stylistyczną polskich ekspresjonistów (przynajmniej znacznej większości) stwierdził: „że autor wie ściśle tyle, co opowiadający w pierwszej osobie ad hoc kreowany narrator”. Aczkolwiek Bratny i Zaleski ulegają tej manierze jednak jeden z podstawowych jej warunków, to jest użycie czasowników pochodzących od piszącego i będących wynikiem jego wiedzy o czymś lub o kimś, w rodzaju „rzekł, pomy-

ślał, powiedział” jest spełniany nie całkowicie a tylko częściowo. Podobna postawa artystyczna wypływa najczęściej z mieszczańskiego agnostycyzmu powątpiewającego w prawdziwość ludzkiego poznania. Pojawienie się jej u najmłodszych prozaików jest wydarzeniem interesującym choćby z tego względu, iż służyć może jako świadek, two nikielki zmian zaszłych w naszej literaturze od czasów przedwojennych.

Związki pomiędzy Bratnym i Zalewskim z jednej, a Kadem z drugiej strony nie dadzą sprowadzić się wyłącznie do mowy pozornej zależnej. Nie można przecież zapominać o sugestywnej metaforze Bandrowskiego, dochodzącej nie raz do przesady w swej barokowości i o tym doborze zdań jakim się ów pisarz najchętniej posługiwał. Chodziłoby tu o stosowanie przez autorów warszawskich porównań tego typu, które w przeważnej części książek twórcy Mateusza Bigdy spotykamy w każdym prawie zdaniu. Zarzut ten ciąży głównie na Zalewskim albowiem on to posługuje się takimi passusami, które są zaczerpnięte jak gdyby po prostu z „Tadeusza”. Naprzykład „A obok ona — kroki podbite ostrym kłusem Piotrowego serca” (nowela „Mrok”) czy też „odbity długą pięścią grzmotu głos Bareya upada i ginie gdzieś pod nogami korporantów” nowela „Wódz”.

Z tego samego źródła pochodzi wulgaryzm odziedziczony przez autorów „Śmiertelnych bohaterów” i „Śladu” zdaje się w prostej linii po „Lenorze” czy też po „Generale Barczu”. Wspominając o tym, należy także podkreślić używanie skrótów w opisach, polegających na wylizaniu i wymienianiu jedynie rzucających się w oczy bardziej uderzających cech. Jest to tylko jednak jeden rodzaj skrótów znajdujących zastosowanie w tej prozie. Druga zaś metoda polega tym razem już nie na uwielbieniu opisu, ale na opuszczeniu jednego lub kilku wydarzeń mniej albo więcej ważnych, których się trzeba potem domyślać. Przyspiesza to przebieg akcji przypominając nieomal identyczny chwyt stosowany przez niektórych poetów tak zwanej awangardy zresztą jest to nie jedyne miejsce wspólne między techniką Bratnego i Zalewskiego a uczniami Peipera a raczej poetką wyznawaną przez tych ostatnich. Szczególnie wyraźne staje się to przy opisach, zazwyczaj krótkich u obu młodych nowelistów i ograniczających się zazwyczaj do dwóch lub też trzech zdań. Naprzykład „Krwawo zachodziło słońce”. „Słońce leżało na gruzach opuszczonego domu („Ślad”), „złota błyskawica otwiera horyzont jak rumie” (Śmiertelni bohaterowie).

Charakterystyczną i zasługującą na uwagę cechą uwidocznioną w obu zbiorach nowel jest dobor specjalnie krótkich zdań powodujący jak i szereg innych wyżej wymienionych czynników, iż w obu książkach, a szczególnie w utworach Zalewskiego, trzeba się dopatrywać odrośnięcia wpływu Bandrowskiego, które wykazują swój wzrost wśród debiutantów w porównaniu z epoką przedwojenną. Nie usłuży nawet nie pragnę generalizować tego zjawiska imputując wszystkim młodym prozaikom tendencje

J U Ż ukazał się w sprzedaży 105 numer

»TRYBUNY WOLNOŚCI«

o następującej treści:

Mieczysław Wągrowski — Wybory
Bronisław Mine — Danina Narodowa
Ostap Dłuski — Wielkie zwycięstwo demokracji
Józef Dubiej — Uwłaszczenie na Ziemiach Odzyskanych
Żanna Kormanowa — Juliusz Aleksander Rydygier
Tadeusz Gede — Rozwój przemysłu Ziemi Odzyskanych
Przed Wyborami
Kalendarz Wyborczy
Na Widowni Międzynarodowej — „Rebelia” w Partii — Konferencja Togliattii — Tito — Ubezpieczenia Społeczne w ZSRR — Zasadnicze cyfry rozwoju ZSRR.
Z życia Partii
Wśród Książek — Nauki ekonomiczne K. Marksa — Z biegiem Odry
Na Lamach Prasy
Wolna Trybuna
Kalendarz Wydarzeń.

*) Roman Bratny „Ślad” Wyd. Kuthana, Warszawa, 1946. Zaleski „Śmiertelni bohaterowie” Wyd. Kuthana, Warszawa, 1946 r.

KSIAŻKA O „NIEWINNOŚCI” HITLEROWSKICH OFICERÓW

kadenistyczne, za przykład obalający takie twierdzenie mogłyby posłużyć świetne wyjątki z „Rdzy” Macha, jednak grupa warszawska wykazuje dużo skłonności do filiacji, z tak mało popularnym wydawałoby się epikiem Piłsudczyków.

NA POGRANICZU AUTENTYZMU

Wydawca umieszczając kilka własnych uwag na wstępie pisał między innymi: „Ich (to znaczy najmłodszych pisarzy) udział w wysiłku wyzwoleńskim daje nam gwarancję prawdy życiowej”. A więc znajdujemy się przynajmniej na rubieżach cyfrowań autentycznych. Temu zaprzeczyc się nie da. Coprawda w obu omawianych przez mnie książkach elementy artystyczne zostały wysunięte na pierwszy plan. Ale można by się doszukiwać takich miejsc, które stoją na pograniczu dokumentarności. Przecież nacisk położony na to, co w „Od wydawcy” nazwano prawdą życiową jest całkowicie nieukrywany. Tym niemniej fałszywym byłoby umieszczanie „Śmiertelnych bohaterów” albo też „Śladu” pośród utworów zdających relację z wydarzeń autentycznych albo też na autentyczność pozujących. Sama kompozycja dosyć skomplikowana świadczy już o tym, że te książki odbiegły od techniki jakiej wymaga reportaż. Samo tworzenie podwójnego ekranu w „niewycieczonych” a to na skutek przedstawienia zarówno treści książki pisanych przez bohatera tego opowiadania Wiktora Grudę jak i jego samego wskazują na pracę i na poważny wysiłek twórczy oraz na wpływy „Falszerzy” Gide’a. Postać Wiktora stanowi tutaj coś w rodzaju komentarza, którym opatrzone autor jego opowiadanie, stanowiące właściwą treść noweli. Stosowanie jednocześnie kilku równoległych prowadzonych wątków, z których czasem jeden jest wyjaśnieniem drugiego („Maski”), przy przechodzeniu od jednego do drugiego wskazuje na pokrewieństwo z metodą stosowaną przez Don Pasosa w „Man hatan Transfer” a wcześniej jeszcze przez Wirginie Woolf w „Mrs. Dalloway” i w „Orlando”. Występuje ona w tym kontekście z pewnymi odmiannymi, zasadzającymi się na znoszeniu odległości w czasie i na umieszczeniu wydarzeń zaszłych dawniej, stanowiących zwykły materiał wspomnieniowy bohatera obok faktów dziejących się obecnie a stanowiących zazwyczaj zakończenie tamtych wypadków.

ZAWIESZONE KONFLIKTY

Specjalną wymowę nadaje tym utworom poświęconym całkowicie tematyce wojennej środowisko ludu, o którego heroizmie one traktują. Albowiem trzeba to stwierdzić nowe obu młodych pisarzy dotyczy tylko jednej klasy mieszczaństwa, a ściślej mówiąc mieszczaństwa Warszawy. I to głównie średniego, lub drobnego mieszczaństwa. Wszyscy bowiem nieomal bohaterowie pochodzą z tej warstwy społecznej. Wyjątek stanowi Piotr Jesien z noweli „Mrok”, dookoła którego pojawiają się zarysy zresztą bardzo niki konfliktów społecznych. Jest to zresztą jedyny moment, w którym ukazują się one czytelnikowi. Gdziekolwiek ich nie ma. Jak gdyby zostały na czas wojny powstrzymane, zawieszono. Byłoby to o tyle zrozumiałe, iż wszystkie postacie występujące tak u Bratnego jak i u Zalewskiego pochodzą z jednego środowiska, gdyby nie fakt, iż o możliwości nawet takowych niki nigdzie (powtarzam „Mrok” jest wyjątkiem) nie wspomina. Te zagadnienia jako widocznie wstydlivé usunięto. Wykreślono. Przez cały czas znajdujemy się w świecie, w którym żadne walki poza starciami narodowymi nie istnieją. Jedynym słowem realizacja utopii społecznych wszystkich pisarzy mieszczańskich, bo nie można chyba tylko tym tłumaczyć co było by fałszywe, iż w czasie wojny takie sprawy stały się nagle drugorzędny, mało znaczące.

SILNI LUDZIE I MITYCZNI NIEMCY

Jednym z podstawowych upodobań obu młodych prozaików jest wykształcony w czasie wojny szacunek dla człowieka silnego, który wówczas stanowił synonim człowieka przydatnego do walki. Przez to samo pojęcia silny lub słaby stały się do pewnego stopnia miernikami wartościowymi. Co prawda autorzy wierni stosowanej przez siebie mowie pozornie zależnej nigdy nie wypowiadała swoich ocen o poszczególnych postaciach, natomiast często zestawiała ludzi silnych z ludźmi słabymi („Słaby” Bratnego, „Maski” i „Niewycieczeni” Zalewskiego). Zresztą ci silni stanowią wyjątkowo wzór bojowca. A ich heroizm zbliża się niekiedy do tego jaki propagował jeden z współtwórców współczesnego mitu o bohaterze André Malraux. Szczególnie uderza to podobieństwo w narracji o rodzinie Kowalskich, której najmłodszy reprezentant przypomina Kątowa z „Doli ludzkiej”. Jednak Polak traktuje to wydarzenie jako jedno z wielu, podnosząc młodego bojowca do rangi powszechnego typu.

Interesującym jest także stosunek do Niemców, którzy stają się na tie książki postaciami wprost mitycznymi, a to z tego względu, iż poza kilku gestapowcami z „Niewycieczonych” i poza Hansem Koppem z „Homera” nie istnieją. Ich egzystencja sprowadza się właściwie do służenia za cel bojowców do aresztowania ich i do zabijania. Nawet wówczas, gdy jeden z opracowanych przez mnie prozaików podejmuje próbę charakterystyki Niemca jak dzieje się to w „Homera” posługuje się przy tym bezustannymi skrótami i uproszczeniami psychologicznymi, tworząc nie człowieka a marionetkę, co nie leżało zdaje się, w zamiarach autorów. Pisałem już na samym początku, że te dwie książki budzą niepokój swoim galwanizowaniem ekspresjonizmu, co nie rokuje na razie przynajmniej tej grupie najmłodszych pokolenia wielkich nadziei. Lech Budrecki

Trudno jest nie doceniać znaczenia umiejętnie zorganizowanej propagandy publicznej w zalewającej coraz bardziej opinii publicznej Zachodu ogólnej fali przemian, kich nastrojów. Głosy sympatii dla Niemców, którzy „nie współpracowali z Hitlerem”, muszą chociaż do pewnego stopnia opierać się na jakimś materiale dowodowym, jakiejś dokumentacji „ludzkiej postawy” niemieckiego społeczeństwa.

Rolę jednego z takich „dokumentów” ma odgrywać głośna dziś w Europie zachodniej i USA książka Fabiana von Schlabrendorffa „Offiziere gegen Hitler”, wydana nakładem potężnego szwajcarsko - amerykańskiego towarzystwa „Europa Verlag” w Zurychu.

„W rok po ukończeniu najbardziej morderczej ze wszystkich wojen dojrzałem do tego, aby nie tylko żądać, lecz również sprawdzać rachunki odpowiedzialności”. Tym zdaniem zaczyna się wstępne słowo wydawców.

„Tu właśnie — czytamy dalej — czujemy żywy dech historii tych mężów, którzy swe życie poświęcili jednemu celowi: likwidacji hitlerizmu. Zakończeniu wojny. Zgodność sądów co do tego, dokąd prowadzi zbrodniczy nazizm, zjednoczyła ich, głęboka powaga moralna i poczucie odpowiedzialności pchnęły do czynu. Czuli, że muszą działać, albo — wiem byli jedynymi, którzy mogli działać... (podkr. moje — W. W.).

Charakterystyczne jest to zdanie. Jednym pociąganiem pióra odpowiedzialność za niesprzeciwianie się zbrodniom hitlerowskim zostaje zdjęta z narodu niemieckiego i przeznaczona wyłącznie na barki wyższych oficerów. To obarczenie oficerów niemieckich ciężarem odpowiedzialności jest zresztą, jak się później okaże, tylko chwytem, ułatwiającym stwierdzenie, że robili oni co mogli, i doprowadzającym w końcu do ich zupełnej gloryfikacji.

Autorem wspomnień jest Fabian von Schlabrendorff, uczestnik „sojisku 20 lipca”. Opracował je Gero von S. Gaevernitz, „Amerykanin niemieckiego pochodzenia i znakomity znawca niemieckiego. Ruchu Oporu”, jak go reklamuje wydawnictwo.

Wynurzenia Gaevernitza w przedmowie są niemniej ciekawe od dalszych rewelacji Schlabrendorffa i dlatego warto niektóre z nich przytoczyć:

„Roznawszechnione jest mniemanie, — zaczyna Gaevernitz — iż nie było w Niemczech poważnego oporu przeciwko narodowemu socjalizmowi.

W pierwszym rzędzie tłumaczy się to tym, że nazistom udało się całkowicie odciać Niemcy od świata zewnętrznego. W wyniku tego przedstawiając się za granicę wielki o walczących z Hitlerem siłach w Niemczech byli zawsze skąpe...

Wtajemniczonym wiadomo, iż w Niemczech działało dużo posiadających istotne znaczenie grup oporu, które składały się z przedstawicieli robotników, wojska, duchowieństwa oraz urzędników...

Choć ludzie ci nie osiągnęli zewnętrznego sukcesu, należy jednak położyć im za zasługę, że jako Niemcy w Niemczech, pod terrorem gestapo, walczyli o wyzwolenie świata od Hitlera i jego reżymu...

Aczkolwiek bardzo bolesnym było dla Schlabrendorffa i jego przyjaciół, że ich zamierzenia pozostały nieuskrętnione, powinni wziąć jako dewizę dla siebie słowa rzymskiego poety Owidiusza:

Ut desint vires, tamen est laudanda voluntas.

Jeśli nawet brak sił, choć należy się pochwała.

W tych i tym podobnych zdaniach Gaevernitz wynosi pod niebiosa urojone zasługi Niemców w walce z hitleryzmem. Kilkakrotnie daje on do zrozumienia, że były one równe, jeżeli nie większe od zasług innych narodów, i tylko terror gestapo sparaliżował ich intensywniejsze przejawy.

Po takim przygotowaniu, odpowiednio nastawiony czytelnik przechodzi do właściwej lektury ułożonych w porządku chronologicznym wspomnień Schlabrendorffa.

Pierwszy, najkrótszy bodaj rozdział, nosi tytuł „Opozycja przed wojną”. Niewiele jest w nim wprawdzie mowy o opozycji, są natomiast dość ciekawe szczegóły politycznych i personalnych intryg z za kulis niemieckiego rządu oraz sztabu generalnego. Zainteresowanie wzbudzają także krótkie, lecz wyraziste charakterystyki niektórych działaczy (Brüning, von Papen, Rundstedt). O Papenie np. czytamy:

„Herbert von Bismarck, sekretarz stanu pruskiego ministerstwa spraw wewnętrznych... postanowił zażądać od Goeringa, który był wówczas pruskim ministrem spraw wewnętrznych, położenia kresu terrorowi partii. Aby móc ten plan przedstawić w formie ultimatywnej, potrzebne mu było poparcie. Szukał go u Papena, Hugenerga i Blomberga. Wszyscy trzej odmówili.

„Papen chętnie się wówczas, że nigdy jeszcze nie czytał pruskiej konstytucji, chociaż był pruskim premierem.”

Cały ten rozdział utrzymany jest w tonie spokojnym i do pewnego stopnia obiektywnym. Dane są łatwe do skonfrontowania ze znaną całemu światu lepiej niż wojenna rzeczywistością przedwojenną i zmuszony do szczerości autor sprawnie czasem wrażenie rozbrajająco naiwne. Tak np., pisząc o antyhitlerowskiej profesurze niemieckiej, po wielu pięknych, lecz beztreściwych zdaniach, Schlabrendorff wymienia w końcu trzech (!) nastawionych opozytywnie profesorów: dwóch Niemców i jednego Żyda...

Na tereny otwartego fałszowania faktów wkracza Schlabrendorff dopiero w swoich opisanach wojny. Oto co ma on do powiedzenia na temat września 1939 roku:

„Światu wiadomo, jaki reżym terroru stworzył SS w Polsce. Kiedy raz później pytałem feldmarszałka von Bocka o te okropności, opowiedział mi on, że Hitler na krótko przed rozpoczęciem kampanii polskiej zwołał dowódców armii, aby zawiadomić ich o swym postanowieniu zaatakowania Polski. Wówczas też powiedział im, że po ukończeniu kampanii będzie się traktowało Polaków z nieubłaganą surowością. Będą się wtedy działły rzeczy, które nie znajdują poklasku niemieckich generałów. Dlatego nie chce on obciążać wojska koniecznymi „likwidacjami”, lecz zniszczenie polskiej elity, a szczególnie duchowieństwa, powierzy SS.

Dopiero po ukończeniu kampanii polskiej przyszło do ciężkich starć pomiędzy ówczesnym komendantem wojskowym w Polsce, gen. Blaskowiczem, a SS, z powodu okropnych metod SS.”

Dla czytelników szwajcarskich czy amerykańskich można oczywiście wypisywać podobne rzeczy. Wywołują one prawdopodobnie zgóry przewidziane wrażenie. W krajach, okupowanych podczas wojny przez Niemców, a w Polsce szczególnie, wiadomo, że nie tylko SS „stworzył reżym terroru”, że Wehrmacht brał czynny udział w długim szeregu zbrodni i że niemieccy generałowie niczym nie wykazali, iż to „nie znajduje ich poklasku”.

W jeszcze większą sprzeczność z prawdą wpada Schlabrendorff, opisując późniejszą sytuację na froncie rosyjskim.

„Choć grupa wojska posiadała słabe wpływy, udało nam się jednak ograniczyć terror SS. Było to nie tyle naszą zasługą, ile SS-Gruppenführera Nebe.”

Tu następuje fantastyczna historia o wyśzonym oficerze SS — antyfaszyście, sabotażującym rozkazy Hitlera.

„Udało nam się uratować od śmierci wielu Rosjan. Ludność rosyjska niejednokrotnie wyrażała nam swą wdzięczność.”

Im dalej, tym głębiej brnie Schlabrendorff w krainę fantazji.

Oto na odmianę bajeczka o tym, jak dowiedziano się w sztabie frontu o wymordowaniu przez SS siedmiuset Żydów w Borysowie:

„Ten meldunek wzbudził wśród oficerów naszego sztabu takie bezmiernie oburzenie, że wielu z nich ze łzami wściekłości w oczach atakowało Bocka, żądając natychmiastowego wzmieszenia się i położenia tamy takiemu postępowaniu. Bock nie odważył się wystąpić zbrojnie przeciw SS i pociągnąć winnych do odpowiedzialności, albowiem uważał, iż nie jest w stanie tego uczynić. Połcił mi jedynie zredagowanie noty do Hitlera o tej niesłychanej zbrodni.”

Jest rzeczka nam jasna, że drukowania podobnych hisiorli nie można określić inaczej jak najwyższy cynizm.

Ale czytelnicy na których jest to obliczone nie mają tych sprawdzianów, które by po zwolity im to ocenić, jakie posiadamy my, którzy przeżyliśmy niemiecką okupację.

Schlabrendorff uderza we wszystkie możliwe strony. Oto jak wygląda w jego ujęciu charakterystyka żołnierza niemieckiego po klęsce moskiewskiej 1941 roku:

„Od tego czasu rozpoczął się w oddziałach duchowy nawrót ku chrześcijaństwu. Gdy żołnierz niemiecki stracił wszystko co posiadał, gdy przed oczyma nie miał nic prócz przerażającej śmierci, szukał on i znalazł pocieszenie w religii. Wybitnie wzmogło się uczestnictwo żołnierzy w komunii świętej...”

Charakterystyczną atmosferę książki stwarza często używane określenie „niemiecki ruch oporu”. Sugestie tego mile łaskoczącego niemieckie uszy zwrotu są zupełnie wyraźne.

Jak jednakowoż wyglądał ten ruch oporu?

„Gen von Hammerstein był zdecydowany...” W międzyczasie nasza grupa oporu usiłowala...”

„Postanowiono...”

Kłębek niezrealizowanych postanowień, usiłowań i decyzji, których istnienia nie można udowodnić...

Cały rozdział zajmuje opis nieudanego zamachu na Hitlera, przeprowadzonego rzekomo przez Schlabrendorffa w marcu 1943 roku. Ta sensacyjna historia o bombie zegarowej w samolocie dyktatora jest już odpowiednio rozdmuchana na całym świecie. U nas pisał o tym, zdaje się, Podkowiński w „Przekroju”. Dziś, oprócz autora wspomnień, nie ma ani jednego żywego świadka zamachu. Ile w tym wszystkim jest prawdy, nie wiadomo. Kto chce, niech wierzy.

Przygotowania do nowego zamachu. I w tym rozdziale zaufanie do autora podrywa wielokrotnie absurd. Oto np. przewodni myśl rzekomego referatu Himlera na odprawie dowódców SS w 1943 roku:

„Tylko pozornie chodzi w tej wojnie o prowincje i kraje. W rzeczywistości celem SS jest zniszczenie chrześcijaństwa na świecie.”

Te istic mitologiczne koncepcje Schlabrendorff nazywa z poważną miną „historycznym dokumentem”.

Reszta książki poświęcona jest przewroto- wi 20 lipca 1944 roku, osobistym przejściom autora oraz jego refleksjom.

Wnioski, które wyciąga pod koniec, zbiegają się z tym, co pisze na początku Gaevernitz.

Nasze wnioski są inne.

Przewrót 20 lipca, jak wiadomo, nie udał się. Nie udał się w pierwszym rzędzie dlatego, że grupa zamachowców nie stanowiła żadnej realnej siły w układzie społecznym, politycznym i militarnym Trzeciej Rzeszy. Nie udał się dlatego, że tych kilkudziesięciu oficerów i cywilów nie miało nic wspólnego z masą narodu niemieckiego, Wehrmachtu, nawet korpusu oficerskiego, jeszcze w roku klęsk — 1944 — nastawionego zdecydowanie prohitlerowsko. Nie udał się wreszcie dlatego, że wbrew twierdzeniom Schlabrendorffa, zamachowcy nie posiadali żadnej jednoczącej ich pozytywnej idei, którą mogli by przeciwstawić faszyzmowi.

Próba przewrotu 20 lipca możemy traktować tylko jako słabo przygotowaną akcję grupy oficerów, dążących do wycofania się z przegranej hitlerowskiej sfery. Niewątpliwie, w samym przeprowadzeniu zamachu były akcenty rozpaczliwego bohaterstwa jednostek. Nie zwalnia to ogólnie niemieckich oficerów i żołnierzy od odpowiedzialności za zbrodnie hitlerowskie.

126 zamykających książkę nazwisk osób, które straciły życie, albowiem uczestniczyły w próbie przewrotu antyhitlerowskiego, lub utrzymywały stosunki z jego uczestnikami — to mało. Bardzo mało.

Wiktor Woroszyński.

KOMUNIKAT

W związku z przygotowywaniem do druku Utworów Zebranych zmarłego tragicznie poety Teodora Bujańskiego zwracam się z uprzejmą prośbą do wszystkich osób posiadających jakiegokolwiek utwory lub przekłady poety — niedrukowane lub drukowane jedynie w czasopiśmie, a nie włączono do zbiorów poetyckich („Pamiętnik po niebie”, „Pomocnik”, „W polowie drogi”) o łaskawe porozumienie się ze mną lub nadesłanie ich na moje ręce pod adresem: Łódź, Al. T. Kościuszki 98, m. 17. Ryszard Matuszewski.

WIELKO OLSKA KSIĘGARNIA WYDAWNICZA P. Z. P.

Z A W I A D A M I A

iz ukazała się w druku powieść historyczna z czasów Chrobrego

WL. J. GRABSKIEGO

ŚLADEM WIKINGÓW
SAGI O JARLU BRONISZU CZĘŚĆ II
Stron 416. Cena 320 zł.

WKRÓTCE UKAŻĄ SIĘ:

HANNY MALEWSKIEJ

ŻNIWO NA SIERPIE
POWIEŚĆ O NORWIDZIE

JANA PARANDOWSKIEGO
DWIE WIOSNY
WYDANIE DRUGIE



PIACHEM W OCZY

Szydziłszy z faszyzmu, ale były w nim sprawy, których nie mógł zatrzeć śmiech. Sprawy tak gorzkie, że opadały ręce. Na długo przed okresem jawnych zbrodni, przed rokiem 39-tym, przed Oświęcimiem i Majdankiem, trudno już było się śmiać. Pamiętam zielone czwartki w Warszawie, kiedy młodzi ludzie pikietowali żydowskie sklepy i kiedy na ulicach wśród wrzasku i wycia sprzedawano „Falange” i „Pregier”. Kiedy we Lwowie obrzucano błotem zza krat uniwersyteckiej bramy trumnę z żydowskim ciałem; kiedy na eksterytorialnych dziedzińcach wyższych uczelni młodzi ludzie zabijali żydowskich kolegów. Pamiętam również pochód ciągnący Krakowskim Przedmieściem, najbardziej chyba bezmyślny pochód, jaki widziałem ulicę Warszawy, w którym studenci krzyczyli o marsz na Zaolzie, w dniach, gdy samotnie padała Czechosłowacja.

„Młody las” — tak ich nazywano. Już wtedy słyszałem głos, który ostrzegał że z tego lasu wyjdzie kiedyś zbrodnia. Nie wszyscy dopuszczali do siebie tak posępne myśli; mądre przysłowia zawsze były pod ręką: „młodość musi się wyszumieć...”. No i szumiało młode piwo, a skrzętnie piwowary dbały o dobry ferment. Mielśmy piwowarów z sanacji i endecji, były więc aż dwa gatunki warzonego piwa, dwie odmiany zbrodni popełnianej na młodych generacjach. Tam mówiono: państwo, tu krzyczano: naród, tam: wyścieś pracy, tu: walka z żydostwem. Ale jeden był cel, wspólna niewzruszona konieczność: zasypać oczy piaskiem, aby nie widziały brutalnej prawdy procesów nurtujących naród i państwo, tu udało się. W wielkiej mierze dzieło uwiecznił sukces. Warszawski fabrykant tapet finansował wiecie „Falangi” w Cyрку, pełnym i humnym od lnianych koszul bojówek, młodzi spado-biercy Nieświeżskich paktów kształcili się w MSZ-cie na żelantów przyjaźni z Trzecią Rzeszą, wężyki generalskie błyszczały wśród dżetów na korporacyjnych komersach. Daleko — była Polska; Semperit, Nowosielce, Lwowski kwiecień...

Sukces polegał właśnie na tym. Że w niejednych oczach został piach. Że udało się zmistyfikować kawał historii narodu. Odwrócić wzrok od istotnych treści społecznych. Iuż młodych ludzi, którzy nie zdołali przebić się przez rosnące warstwy kłamstw i fałszu, odnaleźć swą drogę na trakcie polskich mas ludowych, ilu z nich uwierzyło w tę opaną historię, stworzoną z generalistycznych gestów, wrzasku, blichtru i brzęku!

Piachem w oczy. Udało się. Są jeszcze ofiary tego starego chwytu wstecznictwa. Włoka się jak maruderzy, ostatni w śpiesznych szeregach, ze wzrokiem zaproszonym fałszami. Bo dbano o to, aby w profuzji kłamstw nie było przerwy. Produkowano je pilnie na użytek gimnazjalistów z AK w ciągu całej wojny. Piach spadał na młode oczy garściami. Starsi panowie z endecji i starsi panowie z sanacji dawno przestali brać się za czuby. Cel był ważniejszy niż wygasy zwady, a robota mniej łatwa: musiała wyszumieć się młoda krew, tryskając z ranio-nej piersi. Młody akowiec musiał uwierzyć, że ginąc — ginie za ojczyznę pozbawioną problemów społecznych. Nowy piach to była Polska bez konfliktów między czworakami a dworem, Polska z „kochajmy się” między robotnikami a kapitalistą, Polska z jednym problemem: z problemem granic wschodnich; z jednym niebezpieczeństwem, z „niebezpieczeństwem komunizmu”. Wiele ginęło, nie odzyskując wzroku.

Wypadki od tego czasu przyniosły z sobą pożądaną wymowę prawd — ale na polskiej ziemi zawsze znajduje się piach i tacy, co zechcą nim osłepiać. Prawda dzisiejszej Polski jest prosta: wynika z dawnych walk mas ludowych o wolność i sprawiedliwość. Jest wielkim program na trudnej drodze od Połanicy, Grzybowy, Cytadeli, poprzez Brześć, Lasy Parczewskie i Lublin. Przeszkody na tej drodze stawia niezmierzona, dobrze znana ręka wstecznictwa. Prawda jest jedna, nieuchronna; fałszerstwo jest zawsze dowoli. Stary chwyt sypiania piaskiem w młode oczy, piaskiem kłamstw i fałszu — powtarza się znowu. Kłamstwa przygotowuje się na nową modę: na modę angielską. Z lasu wschodzi zbrodnia na miasto i wieś, 16-letni złoceńcy zabijają ludzi, bo ktoś ich nauczył, że tak trzeba, aby Anglia pomogła Polsce. Polsce — ojczyźnie z jednym problemem; żydowskim; z jednym niebezpieczeństwem: „XVII-ej Republiki”. Z londyńskich pism emigracyjnych płyną do polskiej młodzieży hasła absenteizmu. Wytrawny wychowawca, Cat, wskazuje drogę. „Trwać po cichu, nie być nigdzie”. Nie być nigdzie, gdzie buduje się Polska.

Droga prawdziwa jest trudna. Jest trudna, zwłaszcza dla młodej inteligencji, która od tak dawna pada w Polsce ofiarą fałszu, szerzonych w jej środowiskach bardziej powszechnie niż gdzie indziej. Od wieku niemal w Polsce idzie o nią gra: aby pozostała samotna, chwiejna, odgradzona od treści społecznej — nie widząca prawdy. Ta gra toczy się nadal.

Chcemy, aby młody inteligent pojął jej istotę. Oceniał ją miarą swej świadomej godności. Aby uznał za swoje własne — hasło, które dziś przeciwstawiamy postawie „nieobecności”. Być wszędzie gdzie buduje się Polska.

KANDYD

„Uległość” niemiecka

W Duisburgu zrujnowano i zbezczeszczone mogiły zamordowanych przez Niemców Rosjan. Rosjanie ci, obywatele radzieccy, użyci byli przez Hitlerowców do robót przymusowych, a przed odwrotem zostali w bestialski sposób pomordowani.



Troskliwość brytyjska

Generał Erskin zawiadomił przedstawicieli rządu westfalskiego, iż Anglia zakupiła w UNRRA odzież i obuwie wartości miliona funtów szterlingów. Przedmioty te są przeznaczone dla zaopatrzenia ludności niemieckiej w strefie brytyjskiej.

„Quotidiano” wie najlepiej o sytuacji katolików w Polsce

Organ akcji katolickiej „Quotidiano” wystąpił z polemiką z miesięcznikiem wydziału prasowego ambasady polskiej w Rzymie „Polonia d'oggi”. Gazecie nie podoba się publikowany wywiad z delegatką UNRRA, Blaker, która po powrocie z Polski oświadczyła, że w kraju panuje całkowita wolność religijna. „Quotidiano”, opierając się na oświadczeniach pewnych biskupów, które nazywa „bardziej wiarygodnymi”, twierdzi, że jest wręcz przeciwnie. Katolików radykalnych przedstawia dziennik jako zamaskowanych komunistów.

Wynika z tego, że tylko włoscy biskupi i „Quotidiano” wiedzą, jak wygląda życie religijne w Polsce. Zaczekamy na dalsze „źródłowe” informacje.

Demony niezadowolonia

W tygodniku szwajcarskim „Die Weltwoche” ukazał się wielomówiący artykuł poświęcony rozważaniom wyników wyborów we Francji i we Włoszech. W artykule tym, zatytułowanym „Demony Niezadowolonia”, pismo stwierdza, że lewica zarówno we Francji jak i w Czechosłowacji okazała się konstruktywną, zdyscyplinowaną i ideową. Partie prawicowe zaś, czy będzie to awanturzysta włoska partia „Uomo Qualunque”, czy też konglomerat P.R.L. i Gaullistów, nie mają ani określonego programu odbudowy, ani platformy państwowej w stosunku do najważniejszych zagadnień chwili.

„Elementami niepokoju — podkreśla „Die Weltwoche” — w Europie nie są dziś ludzie z obozu skrajnej lewicy, lecz reakcyjniści, kondotierzy, korzystający z demonicznych sił niezadowolonia. Siły te czerpią swój kapitał polityczny z zasady „im lepiej — tym gorzej”.

W krainie belkotu

Długo (35 numerów!) milczałem, przeglądając zeszyty „Wsi i państwa”. Przerazająco niski poziom, pustka, brak myśli, opłakany stan wiedzy i kompetencji autorów — to wszystko raczej mnie, jako polityka, uspakajało. Rozumiałem, że kuźnia myśli — to PSL-owskie pismo nie będzie.

To jednak co tam ostatnio znalazłem zmusza do przerwania milczenia. Nie jest to już nuda, pustka, pisarskie niedołęstwo. To do słownie najgorsza saska propaganda ciemnoty, rzecz na poziomie mniszych książek o czarownicach.

Jeśli to nawet czytują tylko PSL-owcy, trzeba ich bronić — dla dobra kultury polskiej. Niech czytają choć ciekawo i inteligentnie „Chłopski Sztandar”.

Nowy numer „Wsi i państwa” (8/25) przynosi artykuł wstępny Stefana Buczkowskiego „Naukowe podstawy agrarizmu”. Autor zaczyna: „Agrarizm stanowi rodzaj postawy światopoglądowej, a światopogląd jest czymś, co się nie daje naukowo dokładnie uzasadnić ani obalić. Światopogląd opiera się ostatecznie na czynnikach emocjonalnych, na pierwiastkach irracjonalnych i na hipotezach rozumowych, bo dotyczy on spraw tak niedostępnych dla nauki ścisłej, jak sens istnienia świata i cel ludzkiego życia. Dziś, po obaleniu przez naukę przesądów racjonalizmu,

wiem, że światopoglądy polityczne należą do tej samej kategorii zjawisk psychicznych co wierzenia religijne.”

Szybko jednak od tej niewiarogodnej sarmackiej apologii nierozumu przechodzi do troski o naukowe uzasadnienie swych myśli. Sądzi bowiem, że naukowy sąd nawet o tezach światopoglądowych ma większą wartość dowodową — niż poryw serca. Smętnie konstataje: „Nie wystarczy tu (na ziemi! przyp. nasz) powiedzieć: „jestem, więc mam rację bytu. Trzeba umieć tę rację bytu udowodnić przy pomocy nowoczesnych środków dowodu”.

I zaczyna się pokaz „nowoczesnych środków dowodu”.

Wyda się, iż autor identyfikuje program agrarizmu — jak sam mówi — niedostatecznie sprecyzowany — z czysto negatywnym (jak zawsze w PSL) programem walki z industrializacją wsi i dominacją gospodarki przemysłowej. Nie umie zresztą powiązać tego ostatniego faktu z typowym dla rozkładu kapitalizmu opóźnianiem się rolnictwa w stosunku do przemysłu — co usuwa socjalistyczną formę produkcji. Dla p. Buczkowskiego najważniejszym zagadnieniem polskiej współczesności jest ped do industrializacji wsi. Ped groźny i szkodliwy. Przynieść może bowiem w konsekwencji nieobliczalną szkodę chłopstwu i rolnictwu polskiemu. Mława więc rozbić harmonijną osobowość chłopskiej, która urabia się tylko w warunkach wiejskiej wspólnoty gromadzkiej. O coż ma więc dziś walczyć chłop polski w nowym ustroju? „O osobowość odpowiada uczy-ny autor! Poznajemy dobrze ten język — ta „Osobowość” to przecież pocziwa, klerykalna „dusza” w nowej masońsko agnostycznej szacie PSL-owskiego wysłowienia. Więc znów chłopu radzi się dbać o duszę. O ziemskich sprawach pomyśli reakcja. Osobowość zaś ce ni sobie dlatego p. Buczkowski tak wysoko, że jest ona motorem najważniejszego postępu kulturalnego.

Lecz postępek ten dziś jest hamowany przez niszczącą osobowość przewagę miejskiego typu życia. A według autora sprzyjała tej przewadze dwa czynniki: propaganda socjalistów i panująca przestarzała moda gospodarcza sprzyjająca procesom koncentracji przemysłu. Pierwszy czynnik da się przezwyciężyć przez obalenie „rzekomo naukowych” podstaw socjalizmu. Jak wszystkim wiadomo, pisze nasz uczonec, socjaliści postępek kulturalny uzależniają od czynnika załudnienia jako najistotniejszego. A tymczasem nauka dowiodła, że nie czynnik demograficzny jest tu motorem. Beztrosko nasz uczonec przechodzi do porządku dziennego nad historyczną walką teoretyków socjalizmu z kierunkiem demograficznym w socjologii. Beztrosko pomija fakt, że podstawową tezę materializmu dziejowego dostępną w każdej broszurce jest wiązanie postępu kulturalnego z czynnikami ustrojowymi, z walką klas określoną przez stosunki produkcyjne. W ten sposób łatwo pozbył się socjalistycznych argumentów wiążących wyższy poziom kultury z wyższą formą organizacji produkcji.

To też z równą naukową ostrożnością i sumiennością przechodzi do drugiego czynnika: panującego typu gospodarki i jej tendencji rozwojowej. Są to wprawdzie sprawy uwarunkowane przez wiekowy rozwój ludzkości, ale p. Buczkowski uważa, że ujemna moralna ocena tej gospodarki, obawa że zamięci ona harmonię tajemniczej skądinąd „osobowości” chłopu wystarczy, abyśmy nasze stosunki produkcyjne przekształcili wbrew o-biektywnym prawom rozwojowym historii i gospodarki, abyśmy je przekształcili wedle swego „moralnego” widzimisię.

To też proponuje dekoncentrację przemysłu. Wobec obecnego rozwoju elektryfikacji rzekomo można i należy zasypać kraj małymi warsztatami. W tym jest przyszłość Polski i chłopu. To dopiero da mu traktory i ludzkie warunki pracy. ONR — widział lepszą Polskę — w Polsce straganów. PSL — widzi lepszą Polskę — w Polsce chałupników. W Polsce „przemysłu ludowego”. „Każdy chałupnik robi dla siebie traktor i lokomobilę” — oto hasło PSL. Tak ci obłąkańcy chcą intensyfikować polski eksport, tak zaspokoilić głód towarów przemysłowych na wsi, polski głód techniczny, tak skończyć z polskim rozbrojeniem cywilizacyjnym.

Wynika z tego jasno, że nie ma rozsądnych argumentów przeciw temu, co Obóz Reformy robi w Polsce. Kto jest przeciw, musi poprzestać na dostojnym belkocie. Wsłód tylko, że tego rodzaju objawienia drukuje się w piśmie podpisanym bądź co bądź przez redaktorów ze stopniami naukowymi.

A to mogliby wymagać od swoich współpracowników, gdy „naukowo” bronią czegoś, kolwiek, chociaż czytania w popularnych

broszurkach. Żeby im się Marks nie mylił z Adolfem Coste.

Może by tak „Wieś i państwo” zainteresowało się „Myślą współczesną” choćby jej ostatnim 6-7 numerem, aby przekonać się jak powinno wyglądać pismo o ambicjach naukowych na poziomie polskiej tradycji kulturalnej.

Od małpy czy od „jakiegoś organizmu”

„Tygodnik Powszechny” (nr. 78) w artykule pod sensacyjnym tytułem „Więc jednak od małpy?” z oburzeniem notuje fakt przenikania poglądów ewolucyjnych do szkolnej nauki biologii. Chodzi konkretnie o podręcznik gimnazjalny Forellego i Raabego, w którym sprawa ewolucji, w bardzo zresztą skromnym zakresie, potraktowana jest tak, jak tego wymaga współczesny stan naszej wiedzy w tym przedmiocie. Autor artykułu, p. J. Karolczyk kwestionuje naukowość teorii ewolucji, a w szczególności teorii pochodzenia człowieka i rozdziera szaty z powodu wprowadzenia „materializmu” do programów i podręczników szkolnych. Już sam tytuł artykułu świadczy o ignorancji autora bądź o złej woli. Nikt bowiem z poważnych uczonych, nie wyłączając Darwina, nie twierdził, iż człowiek pochodzi od małpy. W żadnym z dziś istniejących gatunków małp człoko-kształtnych uczeni nie dopatrują się bezpo-sredniego przodka człowieka, mają natomiast do dyspozycji poważny zasób faktów naukowych, świadczących o wspólnym pochodzeniu człowieka i małp człokształtnych od jednego przodka.

Autor złośliwej notki może dowiedzieć się o tym chodząc z ciekawą książką prof. Dembowskiego „Psychologia małp”, niedawno wydanej przez Sp. Wyd. „Książka”. O zagadnieniu ewolucji człowieka prof. Dem-bowski pisze: „Człowiek pochodzi od zwierząt, zarówno więc w budowie swego ciała, jak w jego czynnościach fizjologicznych, czy w życiu psychicznym zachował wiele cech zwierzęcych. To nie może być kwestionowane i na ten temat nie toczy się w nauce żadna dyskusja”. Takie jest stanowisko nauki współ-czesnej sformułowane jasno i wyraźnie.



Dziwnym się wydaje że autor artykułu w „Tygodniku” nie raczył się w tej sprawie dokładnie poinformować.

Ala jeszcze większe chyba zdumienie wywołać powinien fakt, że „Głos nauczycielski” (Nr 16) w „Przeglądzie prasy” ustami p. St. Brzozowskiego z niekłamana sympatią cytuje wypowiedź „T. P.” pisząc: „Naszym zdaniem, najważniejszy zarzut wysuwany w stosunku do podręcznika „Biologii” to twierdzenie, iż sformułowania nie wyrażają stanowiska nauki w sposób dokładny. Podręcznik ten posiadałby wówczas bardzo problematyczną wartość”.

Od recenzenta poważnego pisma nauczycielskiego można chyba wymagać większego krytycyzmu, nawet jeśli czyta on wyłącznie a-sortyment pism stale uwzględnianych w przeglądzie prasowym „Głosu”. A to tym bardziej, iż wypowiedzi rozsądne słychać i z tej strony, którą może nieco zbyt gorliwie i płytko, reprezentuje „Tygodnik Powszechny”. Znamienna jest pod tym względem broszura Ks. Antoniego Słomkowskiego, obecnego rektora Katol. Uniw. Lubelskiego p.t. Pochodzenie człowieka w świetle nauki kościoła katolickiego i w świetle teorii ewolucji” (Lublin, 1946, Tow. Naukowe K.U.L.). Oto co pisze ks. Słomkowski w kwestii ewolucji: „Teolog nie może wobec tej kwestii przejść obojętnie i zadowolić się dosłownym podaniem tego, co znajduje w Piśmie Wszechy bowiem uczeni kompetentni w tej sprawie wyznają dziś zasadę rewolucjonizmu i nie wahają się podciągnąć pod to prawo także człowieka. Pogląd taki znajdujemy nie tylko u świeckich, lecz również u księży, którzy ta kwestia się zajmują”.

A w ostatecznej konkluzji: „I obojętne jest, czy Bóg dla stworzenia człowieka posłużył się materią nieorganiczną, martwą, czy też jakimś organizmem, w który tchnął duszę”. Więc jakże, p. Karolczyk? Czy wprowadzenie do podręczników naukowych teorii, uznawanych także przez światłych reprezentantów kościoła (na zachodzie i przez szerokie rzesze księży) naprawdę jest tak groźne?

Porozumie się państwo! Pod adresem „Tygodnika Powszechnego” chciałoby się przytoczyć cytując za ks. Słomkowskim, słowa Doktora Kościoła: „Jest rzeczą brzydką i zgubną, której trzeba bardzo się strzec, że chrześcijanin mówiąc o tych rzeczach niby to na podstawie Pisma Św. wygłasza brednie; niewierzący słysząc go tak bredzącego i widząc, że jak się to mówi o całe niebo myli, zaledwie może powstrzymać śmiech”.

M. W.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”.

Wydawca: Zespół „Kuźnicy”.

REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.

CENY OGŁOSZEŃ:

Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 spalite.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, Żwirki 4.

D-01171